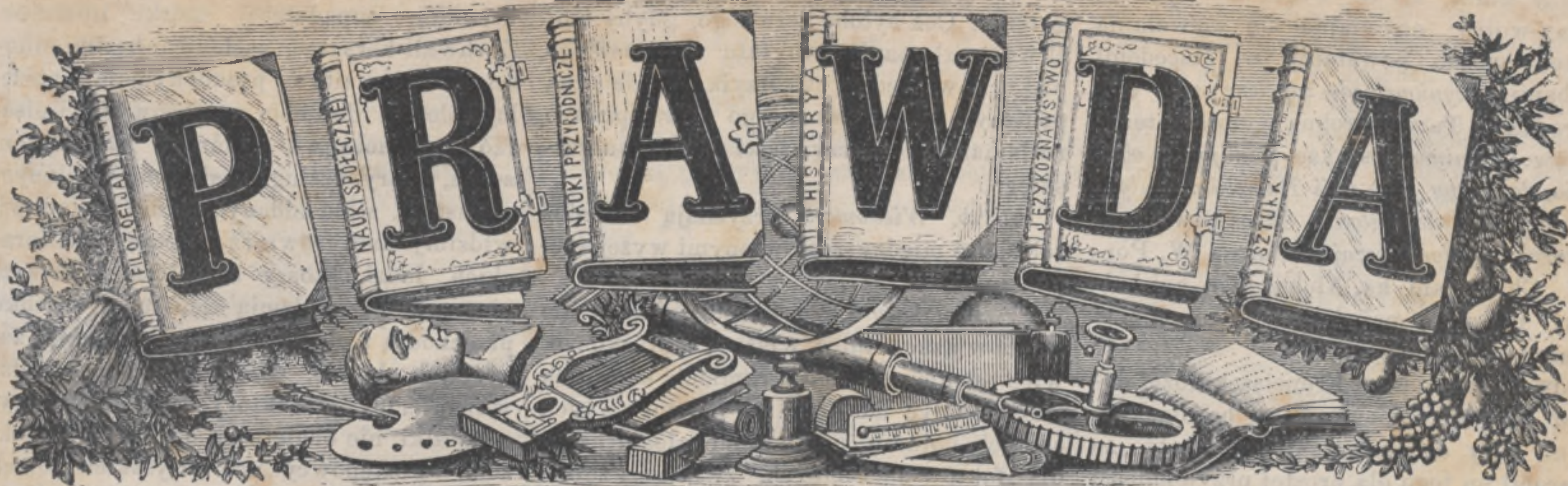
№ 39. Warszawa, dnia 26 (14) Września 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentom naszym przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty.

Do numeru obecnego dołączamy dodatek kwartalny, zeszyt **Ekonomii politycznej**. Dzieło to ukończone będzie w kwartale przyszłym. O wyborze następnej książki dla dodatku, oraz wogóle o zmianach w naszem piśmie zawiadomi osobny prospekt.

ZJEDNOCZONA BUŁGARYA.

Nie było na kongresie berlińskim — co mówimy! — nie było między rozumnymi czytelnikami gazet ani jednego człowieka, któryby nie przewidywał, że stanie się to, co się stało, że Rumelia wschodnia wkrótce podniesie bunt i połączy się z Bułgaryą. Wówczas i dziś można było tylko pytać: co za cel miało to rozpołowienie bułgarów i przedzielenie ich ścianą papierową? Turcya — to nie Prusy, to nie jastrząb, trzymający mocno w swych szponach przepiórkę, to stary, niedołężny ślepy kruk, który ją tylko podziobać może. Że ona prędzej, czy później wyrwie się — nikt o tem nie wątpił. I w tych dniach wyrwała się.

Zewnętrznie fakt ów ma taką postać: w nocy z dnia 17 na 18 b. m. ludność Filipopola uwięziła rządców tureckich i ogłosiła połączenie Rumelii wschodniej z Bułgaryą pod berłem księcia Aleksandra. Szybko za przykładem stolicy poszedł kraj cały. Utworzono rząd tymczasowy i powierzono jego ster Stranskiemu, który przewodniczył spiskowi. Książe bułgarski namyślał się krótko i wydał manifest, w którym przyjął ofiarowaną godność „z bożej łaski i woli narodu," obiecując bronić niepodległości oswobodzonej Rumelii, a jednocześnie posłał kilka batalionów wojska na pomoc powstańcom.

„My, Aleksander, z Bożej łaski i z woli narodu książę Bułgaryi północnej i południowej, ukochanemu narodowi naszemu wiadomo czynimy, iż 18-go b. m. ludność wschodniej Rumelii, obaliwszy rząd miejscowy, utworzyła tymczasowy i jednogłośnie okrzyknęła nas swoim księciem, oraz dla dobra narodu i zgodnie z jego życzeniami postanowiła połączyć się z państwem bułgarskiem. Pragnąc urzeczywistnić ideał tej ludności, uznajemy połączenie to za fakt dokonany, przyjmujemy tytuł księcia obojga Bułgaryj północnej i południowej, przystępujemy do rządów tej krainy i ogłaszamy, że życie, cześć i własność osobista wszystkich spokojnych obywateli, bez różnicy wyznań i narodowości, będą ochraniane i zabezpieczone, oraz że dla utrzymania spokoju i porządku zarządzone zostaną wszelkie środki, i nakoniec, że osoby, nieszanujące tych środków, podlegną surowym karom. Spodziewamy się też po ukochanym naszym narodzie, że obie ziemie bałkańskie, przyjąwszy z zapałem akt połączenia obojga Bułgaryj, okażą gotowość do wszelkich ofiar dla utrzymania jedności i niezawisłości naszej wyswobodzonej ojczyzny. Bóg pomoże nam w spełnieniu tego trudnego zadania.

Książę Aleksander."

W chwili, gdy to piszemy, zaprzysiężono wierność nowemu władcy, a on sam stanął na zbuntowanej ziemi, wszędzie witany z nieopisanym zapałem.

I cóż na to wszystko „Europa?" Naturalnie przez usta swej prasy zapewnia, że została zaskoczona znienacka i że skutkiem tego musi dopiero rozejrzeć się w położeniu. Według niej, rewolucya rumelijska jest wyłącznym tworem zręcznie przeprowadzonego spisku, przygotowały ją w tajemnicy komitety narodowe, które jeszcze zeszłego roku udawały się z prośbą o pomoc do rozmaitych dworów, a otrzymawszy zewsząd odmowę, zaczęły działać na własną rękę. Nagły ten przewrot — pisze półurzędowy *Fremdenblatt* wiedeński — spadł tem niespodziewaniej, że w ostatnich czasach wielkie mocarstwa wcale nie dwuznacznie wyraziły chęć utrzymania w zupełnej mocy obowiązujących traktatów. Postępek ks. bułgarskiego uważać należy nietylko za ciężkie naruszenie prawa narodów, ale wyzwanie Turcyi. Europa nie może zezwolić na łamanie traktatów zwłaszcza w wypadku, który musi pociągnąć za sobą usunięcie zaprowadzonej przez traktat berliński równowagi narodowych i politycznych sił półwyspu Bałkańskiego. Zdarzenia zwaliły się zbyt szybko, ażeby można było już dziś ocenić je trzeźwo, a tem mniej coś pewnego powiedzieć o spodziewanem wystąpieniu wielkich mocarstw w tej sprawie. Wszakże wobec przyjaznych stosunków między temi mocarstwami i wobec powszechnego życzenia wspólności działań, żywić można niepłonną nadzieję, że wszystko uczynionem będzie, aby ruch bułgarsko-rumelijski zamknął się w najciaśniejszych granicach, oraz, aby wytworzyła się podstawa do wspólnej interwencyi, odpowiadającej zarówno najwyższym, rozstrzygającym prawom Europy, jako też interesom wszystkich ludów bałkańskich.

Tak gniewa się w imieniu „Europy" *Fremdenblatt* — a widzimy, że gniewa się miękko. Miękość tę uwydatnia telegram *Kuryera warsz.* z Wiednia: „*Podobno* wszystkie mocarstwa mocno są oburzone na ks. Aleksandra. Krok jego uważają za własnowolne naruszenie europejskiego prawa narodów i przyznają W. Porcie zupełne prawo do zgniecenia siłą rokoszu. *Panuje*

wszakże wiara, iż W. Porta *nie rozpocznie* sama wojny, obawiając się wywołania w ten sposób powstania w Macedonii i Albanii. *Czynione będą zapewne próby* wynagrodzenia Turcyi drobną wymianą terytoryów. *Pomimo* wszakże *panującego oburzenia, dokonany fakt unii Rumelii z Bułgaryą cofniętym nie zostanie.* Mocarstwa będą popierały *dyplomatycznie* interesa W. Porty.“ Chyba ani ks. Aleksander, ani bułgarzy nie drżą przed tem „oburzeniem“ i innego sobie nie życzyli.

Gdy świeżo cesarz Franciszek Józef dotknął swemi stopami ziemi bośniackiej, czujne nosy dziennikarskie zwąchały, że nie zrobił on tego dla prostej przyjemności zajrzenia do nieznanej prowincyi, która zostaje pod jego opieką, lecz że krok ten zapowiada ostateczne włączenie Bośnii i Hercegowiny do Austro-Węgier, a jest następstwem zjazdu w Kromieryżu. Przypuszczenie takie nabiera prawdopodobieństwa wobec wypadków bułgarskich, które logika wiąże również z tem spotkaniem monarchów. Ale rzecz dziwna, najpospieszniej przecięto ową nić zależności zdarzeń tam, gdzie ona najłatwiej wysnuć się powinna — za granicą, zwłaszcza we Francyi — a wskazano na nią tam, gdzie, zdawało się, pozostanie ukrytą — w Rosyi. Gazety petersburskie i to będące echem sfer wpływowych wyspowiadały swe przekonania szczerze. *Nowoje Wremia* (według telegramu Agencyi półn.) „wątpi o zapewnieniach paryskich, jakoby wypadki wschodnio-rumelijskie nie stały w żadnym związku ze zjazdem kromieryżskim. Zapewne — mówi dalej ten dziennik — zarówno połączenie Rumelii z Bułgaryą, jako też zabor Bośnii i Hercegowiny, nie były przedmiotem formalnych układów w Kromieryżu. Gdy wszakże cesarz Franciszek Józef przed kilkoma dniami stanął pod Brodem na ziemi bośnijskiej, nikt nie dziwił się temu, że fakt ów objaśniano, jako związany z przyłączeniem Bośnii i Hercegowiny. Cóż byłoby dziwnego, gdyby możliwość złamania traktatu berlińskiego pod tym względem stworzyła równie silną podstawę do naruszenia go i w sprawie rozłamanego na trzy części narodu bułgarskiego.

Petersb. Wiedomosti przyznają również zależność między zestawionymi wyżej wypadkami.

Fremdenblatty i tym podobne organy nie są obowiązane mieć własnych przekonań, więc też nie potrzebują rumienić się za ich zmianę. Być może też, że niedługo z tych samych kolumn odezwie się głos uznania dla „faktów spełnionych,“ zwłaszcza że ono przez udany gniew dość wyraźnie przegląda. Czy rewolucya bułgarska była „ukartowana“ — nie wiemy i gotowi nawet jesteśmy wierzyć, że przekroczyła ona zakreślone jej granice, ale że „Europa“ dotąd „oburza się“ niezbyt srogo — to jasne. Bądź co bądź mamy przed sobą wypadek wielkiej wagi, gdyż gordyjski węzeł „kwestyi wschodniej“ rozwiązał jeden ze swych splotów. Nie jest takiem rozwiązaniem sztuczny, dyplomatyczny, na krótką trwałość obliczony i osławionej „równowadze“ jedynie dogadzający układ stosunków politycznych, ale jest niem niewątpliwie postęp w skupianiu się rozdzielonych całości narodowych.

Szczęśliwa Bułgarya: ciemna, bezpłodna, ledwie z barbarzystwa wyprowadzona, w rozwoju cywilizacyi nieuczestnicząca już dziś stała się państwem niezależnem, posiadła wszystkie prawa, wszystkie warunki życia samodzielnego.

ZA WIELE ZASZCZYTU.

Organ większej własności ziemskiej i organ większej renty — stały się u nas głównemi schroniskami pirateryi zachowawczej, napadającej statki liberalne. Zuchwali korsarze, zasłonięci bezimiennością lub rozmaitymi pseudonymami, strzelają błotem do pism postępowych i pisarzów tej chorągwi, obdarłszy ich przytem z czci, wiary, zasługi i talentu. Obok specyalistów, stale oddanych temu zawodowi, widzimy tam również włóczęgów literackich, ludzi, którzy za miłym zapachem pieczeni, za nadzieją lepszego zarobku przechodzą z obozu do obozu, zmieniają zasady jak obuwie, wynajmują się, jak dawni łucznicy, dla których obojętnym był cel walki, nie obojętnym był tylko wysoki żołd. Postępowcy na wszystkich polach zwyciężać mogą—w nauce, sztuce, polityce, ale nie zwyciężą nigdy na targu, gdzie się sprzedają wszelakie „siły.“ Kapitał słał sobie zawsze gniazda na drzewach konserwatyzmu—tam przebywa i nasz. Daremnie więc żywioły liberalne usiłowałyby przelicytować przeciwników w najmie—rozporządzać one mogą tylko szczerymi wyznawcami idei, którzy muszą stanowić mniejszość. Tak było — i tak będzie.

Od lat kilku w prasę naszą wciska się coraz bardziej samolubny, zuchwały, niegardzący poślednimi środkami kapitał, który zakłada właśnie organy i utrzymuje w nich dobrze płatną obsługę. Postaw naszego życia społecznego jest wązki i wątły, nie można na nim tkać wielkich przedsięwzięć, lecz zaledwie interesy drobne. Cóż więc ma robić kapłan, stojący na straży arki kapitału? Broni jej od ludzi, podkopujących wiarę w świętość tego najnowszego zakonu. A słudzy i dziady świątyni złotego cielca? Wymyślają przechodniom, którzy przed jej wrotami nie zdejmują czapek? I oto cała treść bojów konserwatywnych i polemik tej barwy. Wartoż podnosić rękawicę, przez takich rycerzy rzuconą?

---

15)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

Hermipos.

Szanowni obywatele! Niewiasty tej nie znam, nic mi ona złego nie zrobiła, okoliczność ta wyłącza ze skargi mojej pobudki osobiste, gdyby kto chciał mi je podsuwać. Do wystąpienia tego skłoniła mnie jedynie dbałość o dobro religii i zdrowie moralne społeczeństwa. W snach ukazywała mi się po kilkakroć bogini Atena, opiekunka naszego miasta, i nakazywała, ażebym stanął w obronie zdeptanej wiary; w słowach, w spojrzeniach, w smutkach ogółu czytałem tę samą prośbę — uległszy więc tym wezwaniom, mam to przeświadczenie, że działam w imieniu ludzi i bogów. Przewiduję tu pytanie: czy nie zgrzeszyłem zbytnią surowością? czy nie przeceniłem niebezpieczeństwa? czy nie należało tej kobiety raczej upomnieć, niż przed sądem stawiać? Mógłbym na to odpowiedzieć: czemuż mi stwórca dał duszę tak głęboko czującą, tak kochającą dobro, a nienawidzącą złego? czemuż tak bezgranicznie jestem przywiązany do mojego narodu, że muszę pragnąć jego szczęścia? Pomijam wszakże te osobiste względy i zwracam się do przedmiotu sprawy. Oskarżoną jest kobieta, ale nie kobieta prosta, cicha, do ogniska rodzinnego przytulona, z niewiadomości tylko błądząca; nie, to kobieta piękna, zdolna, wysoko ukształcona, której niebo użyczyło wielu najcenniejszych darów, a która otoczyła się gronem najpiękniejszych umysłów po to, ażeby je znieprawić i przez nie na całe miasto, jeśli nie na całą Grecyę, zabójczy wpływ wywrzeć. Gdyby Milet miał jaką zadawnioną do nas urazę, gdyby nas chciał zgubić, mniemałbym, że ją wysłał do Aten jako mścicielkę. Bo ogarnijcie straszne skutki jej działania! Naprzód co zrobiła ze swym mężem, człowiekiem, do którego ojczyzna przywiązywała tyle świetnych nadziej? Od chwili zaślubienia jej, Perykles, potomek znakomitego rodu, zanurza swą sympatyę w najniższe i najgorsze żywioły społeczne, otwiera im szerokie ujścia, podmywa nimi starożytne i czcigodne instytucye, ze skarbu państwa karmi próżniactwo i osłabia wszystkie podwaliny, na których oparło się życie narodu, na których wzniosła się jego wielkość. Dzięki tym żywiołom równy nam obywatel rządził w Atenach jak samowładny pan. Wypowiadał wojny, zawierał przymierza, budował nowe gmachy, burzył stare, gospodarował pieniędzmi publicznymi tak dowolnie, że gdy zażądano od niego rachunku z rozchodów na wyprawę przeciw spartanom, odpowiedział tylko, że pewną sumę wydał na „konieczne potrzeby,“ co miało znaczyć, że nią przekupił króla Plojstonaksa. Budowa Partenonu odbywała się również bez kontroli. Nie będę tu sprawdzał rozpowszechnionej wieści, że handlował dziewczynami w obozie, chociaż ją potwierdziło wiele poważnych osób; nie będę zastanawiał się nad śmiercią młodszego syna Peryklesa, otrutego przez ojca, jak świadczy to piśmienne zeznanie jego syna starszego, Ksantypa, które sądowi składam...

Archont.

Zwracam twoją uwagę obywatelu, że oskarżonym nie jest Perykles, lecz Aspazya, o niej więc mówić powinieneś.

Hermipos.

Przytoczyłem te fakty właśnie na dowód, ile szkód zrządziła ogółowi Aspazya przez swego męża, który we wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach jej radził się lub — jak np. w wojnie z Samos — dogadzał. Tenże sam ujemny wpływ dostrzegamy w jej otoczeniu: Anaksagoras tylko ucieczką wyśliznął się karzącej sprawiedliwości, Fidyasz umarł w więzieniu, Eurypides, wypędziwszy dwie zacne żony, marnieje w rozpuście, Sofoklesa muza od roku milczy, Protagoras i Sokrates weszli na tę drogę filozofii, która ich również prędzej czy później zawiedzie do sądu. Nie mogło być inaczej. Trzej ostatni niech wam sami opowiedzą, jakie rozmowy pro-

Nie przeczymy, że nasz zastęp literalny, noszący wówczas miano „młodej prasy,“ miał swoją epokę—majtek. Okazywał on wtedy wiele zapalczywości, zawadyactwa, krzykliwego zapału, chęci do staré osobistych. Ale (wyłączywszy szczupłą garstkę) szybko z tej młodzieńczej szaty wyrósł, dojrzał, spoważniał i dziś nie ciska kamieni w nieoświecone okna konserwatyzmu i nie poszturguje w przelocie starych kawalerów literatury. Jeśli walczy—to przedmiotowo, o zasady, o sprawy, posiadające istotną wagę. Kiedyś zajmował się dużo, bardzo dużo analizą mikroskopową mózgów pp. Pawła, Gawła, Szymona i Józefa, dziś omija ich, lub co najwyżej lekkim żartem odeprze. Dziś obchodzą go przedewszystkiem zagadnienia nauki i życia społecznego.

Owe znoszone majtki, które liberalizm nasz porzucił, stary konserwatyzm przywdział i udaje krewkiego młodziana. Więc napada, łży, krzyczy, wyprawia burdy, usiłując przewyższyć wrzaskliwością i zawadyactwem tych, których z przeszłości naśladuje a w teraźniejszości znieważa. Nie widzi on wcale, że jest śmiesznym, zapomina nietylko o różnicy wieku, ale nawet o różnicy pobudek. Postępowców naszych w najpierwszej zaraz dobie ich wystąpienia porywała jakaś—polityczna, społeczna albo filozoficzna—idea, konserwatystów pcha do walki egoizm, zwykły kastowy lub osobisty interes. Gdy dawniej organ „młodej prasy“ złorzeczył szlachcie a wysławiał lud — czynił to z przywiązania do kraju, z poczucia sprawiedliwości, z jakichkolwiek zresztą pobudek szlachetnych, bezinteresownych; ale gdy dziś organ „większej własności,“ która jego oficyalistów opłaca i cały inwentarz karmi, gdy ten wymyśla demokratom, broni tylko własnej lub żywiącej go kieszeni. Tu napastniczość ma niższe źródło, niższy charakter, niższą wartość moralną—taką np., jak przekleństwa kramarza z Żabiej ulicy, u którego namawiany i chwytany przechodzień nic nie kupił. Wyzwania do sporów i rozpraw przedmiotowych, ogólnych, wywody poważne słyszymy z tej strony bardzo rzadko; zwykle są to pokrzyki, podgryzki i szykany, bądź przeciw *komuś* wymierzone, bądź *kogoś* obsługujące.

Na głosy ani takich solistów, ani takich chórzystów nadstawiać uszu nie warto, a tem mniej ich rozbierać. Tymczasem w jednem z pism (mającem postępowe lunacye) czytamy coraz częściej szerokie rozprawy polemiczne o byle bzdurstwie konserwatywnem. Przygodnemu lub stałemu współpracownikowi któregoś z organów „większej własności“ lub większej renty, przyjdzie pewnego dnia myśl oskalpowania postępowców *in effigie.* Zacina sobie tedy ostro paznokcie literackich palców i rżnie na kilku kolumnach grupę fantastycznych dyabłów, w które uwierzyć zdolna każda pobożna kucharka. Byłyby te karykatury wcale nieszkodliwą zabawką, gdyby natychmiast nie biegli rozjątrzeni postępowcy i nie usiłowali je zatrzeć. Po co? Jeśli ktoś plunie w rzekę, z której ludzie wodę piją, czyż rybacy spieszą na łodziach i łowią jego ślinę? Nie, płynie ona sobie swobodnie i znika w falach. Szkody ona nikomu nie zrobi, prądu nie zatamuje i nie zwróci, nawet nie zanieczyści wody, która ją na brzeg wyrzuci lub strawi.

Takiemuż losowi można i należy zostawić każdą ślinę literacką. Rozpatrywanie jej, rozbieranie odczynnikami naukowymi i moralnymi nadaje tylko rozgłos i wartość produktowi, który na rozgłos nie zasługuje a wartości nie ma. Bo zastanówmy się: co na szalach myśli narodu lub drobnej jego cząstki zaważyć zdolna piana złych ust, papierowy grom, wymysły pierwszego lepszego zucha? I literatura posiada swoje filtry: nie wszystko do niej przechodzi, co do jej zbiornika wpada. Myśli, zasady, przekonania, uczucia duchów istotnie bogatych zostają w skarbcu piśmiennictwa, ale nie wytarte liczmany i fałszowane obligi. Można nimi oszukać łatwowiernych, można za nie kupić sobie dziennej strawy, ale nie można wymienić na złoto tam, gdzie ono sprawdzane jest na probierzach ścisłych. Co nas to obchodzi, że jakiś organista konserwatyzmu wygrywa przeciw nam w swej kapliczce żałosne, mściwe lub szydercze pieśni? Czy nie wypada czasem przebaczyć mu, bo i on żyć potrzebuje? A jeśli już koniecznie chcemy poskromić go i ulżyć swemu rozdrażnieniu, czyż nie wystarcza jedno podcięcie biczem satyry? Armatnie strzały są tu zbyteczne. Nie zabijają one komarów, a robią im za wiele zaszczytu.

KRONIKA WYDALAŃ.

Dniewnik Warsz., polemizując z artykułem *Wieku* o odwecie na niemcach, powiada:

„Istotnie i zupełnie zrozumiałe współczucie dla swoich współrodaków widocznie uniosło autora tego artykułu zbyt daleko i przebrał on miarę, mieszając w swoim programie środki, jakie dyktuje rozum, z takimi, na użycie których zdecydować się można jedynie pod wpływem mocno wzburzonych namiętności. Nikt nie może nic powiedzieć przeciw tym, którzy zaniechają wyjazdów do wód mineralnych niemieckich. Taki sposób postępowania byłby uznany przez wszystkich za zupełnie rozsądny i uprawniony, a nawet za najlepszy w rozporządzaniu swymi zasobami materyalnymi, chociażby go przedsięwzięło tutejsze społeczeństwo nietylko pod wpływem postanowienia odpłaty czemkolwiek niemcom za wydalanie polaków z Prus. Ale zalecać ogólne usunięcie wszystkich niemieckich osobników, pracujących u pol-

---

wadziła z nimi Aspazya. Na wniosek Diofitesa ustanowiliście prawo, mające stłumić bunty zuchwałej myśli a zabraniające objaśniania ciał niebieskich sprzecznego z mitologią. Było to wędzidło niezbędne dla okiełznania tak zwanych filozofów przyrody, którzy odmawiali bogom udziału w stworzeniu świata i na ich miejsce podstawiali siły naturalne oraz przemiany materyi. I oto zakazowi, któremu poddali się mężczyźni, śmiała urągać jedna kobieta, cudzoziemka, niewdzięczna za otrzymaną gościnność. Chciała ona wygnać wszystkie bóstwa z Olimpu i zamknąć go, jak starą winiarnię z dziurawym dachem, do której już nikt nie uczęszcza. Nigdy jej usta nie odmówiły modlitwy, nigdy jej stopy nie dotknęły progu świątyni, tylko jej ręce — jak wam zaświadczy niewolnik Traks — zrywały owoce w gaju Ateny. Z tą bezbożnością musiała skojarzyć się bliźniacza jej siostra — rozpusta. Aspazya założyła przytułek dla młodych niewolnic, który był właściwie domem brudnych uciech. Anaksagoras, któregobym tu chętnie na świadka powołał, a który zasłaniał tę ochronę przed władzami, zdradził jej tajemnicę Tucydydesowi. Taż sama moralność panowała w mieszkaniu Aspazyi, które służyło za miejsce schadzek dla jej przyjaciół i przyjaciółek. Jedna z nich Diotima, już zmarła, dopuszczała się tak wyuzdanych bezeceństw, że nawet Fidyasz narzekał na nią przed Diofitesem. Jest w Atenach wielu mężczyzn, którzy szczycą się czasowem posiadaniem względów Aspazyi; nie badam, kto ma prawo do tej niezaszczytnej przechwałki, zauważę tylko, że mistrzyni musiała przewyższać swe uczennice.

Obywatele! Za czyny te prawo skazuje winnych na śmierć. Ciężka to kara i ostrożnie ją stosować należy. Ale czy podobna cofnąć się przed nią, gdy bogowie i ludzie jej wymagają? Czy podobna bezkarnością uzuchwalać zbrodniarzów istniejących i wywoływać nowych? Nie mylę się, przypuszczając, że w sumieniu waszem więcej zaważy dobro ojczyzny, niż jedna gładka, ale występna głowa. Wyrzeknicie: winna, bo wyrok ten, dawno już wydany w niebie, oczekuje tylko spełnienia na ziemi.

Archont.

Przesłuchamy świadków. Sofokles obecny?

Sofokles.

Jestem.

Archont.

Bywałeś u Aspazyi?

Sofokles.

Bardzo często, zwłaszcza na zebraniach naukowo-artystycznych.

Archont.

O czem zwykle mówiono?

Sofokles.

Czyż mogę wyliczyć! O rozmaitych sprawach politycznych, o zagadnieniach wiedzy i sztuki.

Archont.

W sposób swobodny, gorszący?

Sofokles.

Swobodny, ale tak nie gorszący, że brałbym tam z sobą moją córkę, gdyby uczone rozprawy mogła rozumieć.

Archont.

Niczego zatem obywatelu nie zauważyłeś, co by naruszało moralność?

Sofokles.

Nie.

Archont.

Przypominam ci jednak, że jesteś powołany nie do obrony występku, ale do wyznania prawdy.

Sofokles.

Dziwię się, że ona tak mało znajduje wiary. Hermipos stracił nietylko uczciwość, ale i rozum, jeśli przypuszczał, że ja co innego tu zeznać mogę, prócz uwielbienia i współczucia dla niewinnie oskarżonej.

Archont.

Teraz da nam świadectwo Sokrates (*Sokrates występuje*).

Sokrates.

Dom Aspazyi był najprzedniejszą w Atenach szkołą filozofii, a ja jej uczniem i czci-

skich przedsiębiorców i wogóle wszystkich niemców, znajdujących się w zależności od polaków, jest to już rzecz, nie mająca nic wspólnego ani z przezornością, ani ze sprawiedliwością. Na równi z temi radami, zupełnie racyonalnemi ze względu na ogromne znaczenie stosunków ekonomicznych w życiu współczesnem, zaleca środki krańcowe przeciw niemcom, środki tem ostrzejsze, że gdyby rady te były zastosowane, to środki owe spadłyby bez wyboru na ludzi zupełnie nieprzygotowanych do gwałtownej zmiany w ich położeniu. Autor nie nawołuje do pomocy ludziom, którzy wskutek wysyłki ucierpieli i położenie których widocznie nie zajmuje go wcale; wzywa on do zemsty, która nawzajem nie może nie wywołać nowych nieprzyjaznych działań ze strony przeciwnej, co następnie doprowadziłoby do takich rozmiarów, do jakich widocznie nie chce doprowadzić tej walki p. del Campo, pragnący ograniczyć się na cichej i spokojnej, a zalecający takie środki, które muszą koniecznie wywołać tem większe zaostrzenie. Potępiając ostracyzm rządowy, nie wiadomo dlaczego przyznaje autor, że jest on prawną bronią w rękach osób prywatnych i zaleca jaknajszersze jego zastosowanie, zapominając, że przecież w tutejszych fabrykach, należących do niemców, pracuje również mnóstwo polaków, na których odbiłoby się natychmiast rozdrażnienie wzajemnych stosunków, które byłoby koniecznem następstwem urzeczywistnienia idei p. del Campo. Zalecane wypędzanie w formie i rozmiarach przez niego proponowanych, nie byłoby ani pokojowe, ani spokojne i mogłoby doprowadzić do następstw, których pragnąć nie może żaden człowiek ludzki i przezorny.“

Obawy *Dniewnika* wydają nam się płonne w całej ich rozciągłości, a etyka, jedną i to słabszą tylko stronę obowiązująca, niedostateczną.

Niejaki Schön, przemysłowiec sosnowicki, podał prośbę o pozwolenie rozszerzenia fabryki, na co nie uzyskał zgody władz. Skutkiem tego wystąpił z listem w jednej z gazet rosyjskich, który *Wiek* opatruje następującemi uwagami:

„Wyrzucają nam — powiada mniej więcej p. Schön — nam, niemcom, że dajemy chleb i zajęcie ziomkom naszym, a gdzież jest przepis ograniczający nas w tej mierze? Żadnego niema. A skoro go niema, jesteśmy w zupełnem prawie sprowadzać i dyrektorów, i techników, i robotników, skąd nam się podoba. A jednak łatwo byłoby zapobiedz tej ewentualności w drodze przepisów, któreby tę sprawę uregulowały.

Zacząwszy w ten sposób, p. Schön proponuje powolne, stopniowe zastępowanie techników i robotników zagranicznych przez krajowych. Możnaby nawet oznaczyć pewne stałe w tej mierze termina. Jak najwcześniej, od dziś mogliby fabrykanci przyjmować na swój koszt techników krajowych dla praktycznego z zakładem obznajmienia. Nie upłynąłby rok, dwa i młodzi ci ludzie (którzy rozumie się przedtem winni zdobyć odpowiednie teoretyczne wykształcenie specyalne), staliby się już pożytecznymi zastępcami niektórych pracowników zagranicznych, po upływie lat kilku może już i wszystkich. Co się tyczy prostych robotników, to z uwagi, że zwłaszcza w Królestwie Polskiem wskutek obecnego przesilenia wiele rąk pozostaje bez zajęcia, autor proponuje, aby fabrykanci zobowiązani zostali do kompletowania sił roboczych wyłącznie krajowcami.

Projekt tak jasny i prosty, że aż dziwić się należy, jakim sposobem dano czas wystąpić z nim... niemcowi, któremu swoją drogą należy się zupełne uznanie za tego rodzaju inicyatywę. Ważny jest nadewszystko pomysł stopniowego zastępowania techników niemieckich przez krajowych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że młodzi technicy to przyszłość przemysłu każdego kraju i dopóki nie będą mieli we własnym kraju odpowiedniego pola działania, dopóki w sferze tej rządzić i działać będą cudzoziemcy, będziemy mieli zakłady fabryczne i rękodzielnicze takie, jakie dziś mamy, lepsze może nawet, większe, to prawda; dzięki subtelnym kombinacyom i pomysłom ta i owa fabryka da większe dywidendy — i to być może; ale przemysłu narodowego, w prawdziwem znaczeniu tego słowa, produkcyi czynnej, przedsiębiorczej, rozumnie i szlachetnie eksploatującej siły wytwórczej kraju, mieć nie będziemy. To darmo, na to trzeba znać, czuć i kochać kraj, w którym rozwija się działalność przemysłową, mającą wyjść na rzeczywisty pożytek krajowi.

List p. Schöna zwrócił ogólną uwagę tutaj głównie dla tego, że wyszedł z pod pióra cudzoziemca; niektóre pisma zajęły się nim bliżej, ostatnio poświęciły mu uwagę *Petersburskie Wiedomosti*, a dziś *Journal de St Petersbourg*. Okoliczność ta pozwala wnosić, że obudził on pewne zajęcie i w sferach rządowych.“

Trudno i listu p. Schöna i tych uwag nie podpisać.

Z FRANCYI.

Paryż, 15 września.

Kółka włościańskie we Francyi. — Ruch w kierunku zakładania stowarzyszeń rolniczych i drobna własność. — Inne środki podniesienia chłopskich gospodarstw. — Zjazd bretoński w Quimper i mowa Renana. — Pierwszy wolny zjazd nauczycieli we Francyi. — Uroczystość stowarzyszeń strzeleckich. — Germinal na scenie.

Na zapuszczonej od wieków niwie drobnego gospodarstwa wiejskiego zapanował obecnie we Francyi ruch, budzący wiele nadziei.

Rzeczpospolita posiada liczny i dawno wyzwolony zastęp włościan — właścicieli. Szeroko i niejednokrotnie już rozprawiano o zaletach tej drobnej własności. Zachwalano korzyści małej uprawy, podnoszono pierwiastek swobody, na którym opiera się chłopska posiadłość; widziano w niej rękojmię przeciwko wkradającemu się coraz bardziej w stosunki ekonomiczne kolektywizmowi... Politycy konserwatywnego odcienia patrzyli na ciemne masy chłopskie jako na pożądany balast, który nawie społecznej nie pozwala biedz zbyt szybko i od rozbicia ją chroni. Ba, czego w tej drobnej własności nie widziano. Napoleon III na chłopskim plebiscycie opierał swe cesarstwo, a niedawno nawet Ferry zjednywaniem ludu wiejskiego usiłował pohamować zbytnią porywczość radykałów.

Obok niezaprzeczonych korzyści drobnych gospodarstw, szczególniej w kraju,

---

cielem. Każdy jest zły tylko przez niewiadomość; mniemam więc, że zarówno oskarżyciel, jak i wy sędziowie żądacie ode mnie, ażebym was objaśnił, kto jest ta znakomita kobieta, i ustrzegł od popełnienia niesprawiedliwości. Żałuję, żeście mnie o to nie spytali gdzieindziej, na ulicy, w czyjemś mieszkaniu lub podczas przechadzki w przyjemnym lasku, lecz tu, przed sądem, który samem przyjęciem oskarżenia uznaje winę, zanim ją poznał. Co byście rzekli o człowieku, któryby siadał na konia, zanim mu go przyprowadzono, jadł lemieszkę, zanim mu ją podano, lub skubał gęś, zanim ją złapał?

Archont.

Do rzeczy, Sokratesie, do rzeczy.

Sokrates.

Nie mogę mówić o rzeczy, dopóki nie odwrócę stosunku stron i nie wytłomaczę wam, że właściwie sądzącą jest tu Aspazya, Hermipos oskarżonym przez nią o głupotę, a wy o wspólnictwo z nim.

Archont.

Dosyć!

Sokrates.

Dosyć? Już wiesz wszystko o tej mojej mistrzyni i możesz wyrokować? Pojętny jesteś bardzo archoncie.

Archont.

Protagoras! (*Protagoras występuje*). Czy Aspazya w rozmowach dopuszczała się wykroczeń przeciwko religii i moralności?

Protagoras.

Według mnie?

Archont.

Według ogólnej miary dla czynów ludzkich.

Protagoras.

Ja takiej ogólnej miary w sobie nie posiadam, bo jestem istotą pojedynczą, a nie zbiorową.

Archont.

Tu nie miejsce, Protagorasie, dla wykrętów sofistycznych.

Protagoras.

Ale tu miejsce dla określeń ścisłych. Sąd nie powinien wywoływać dwuznaczności, jeśli rzeczywiście pragnie zbadać sprawę dokładnie. Kozioł nazywa kapustę smaczną, a borsuk — wstrętną. Podobne różnice zachodzą między ludźmi. Ta sama kobieta w jednym budzi miłość a w drugim odrazę; ten sam czyn jednych zachwyca, drugich przeraża. Otóż przedewszystkiem potrzebuję wiedzieć, czy mam oceniać postępki Aspazyi według mojego przekonania?

Archont.

Przypuśćmy.

Protagoras.

W takim razie była ona najuczciwszą i najmędrszą kobietą w Atenach.

Archont.

Nie pozwolę ubliżać zacnym obywatelkom ateńskim!

Protagoras.

Wcale ich nie lekceważę, owszem przypuszczam, że wszystkie razem wzięte wyrównałyby może swą wartością Aspazyi, chociaż połowa tych obywatelek pisuje listy nieortograficzne, a co najmniej tylż— miłosne.

Hermipos.

Zwracam uwagę sędziów na twierdzenia tego świadka, będące oddźwiękiem mniemań jego mistrzyni.

Protagoras (*do Hermipa*).

Nie zwracaj uwagi na takie wpływy, szanowny mężu, bo sędziowie mogą dostrzedz, że twoje usta brzmią oddźwiękiem tego, co ci twoja mistrzyni włożyła nie do głowy, ale do — kieszeni.

Archont.

Proszę zaprzestać tej sprzeczki! Więc odmawiasz, Protagorasie, szczerego zeznania w sprawie Aspazyi?

Protagoras.

Tego, którego, jak widzę, potrzebujesz— odmawiam.

Archont.

Osobiście nie potrzebuję żadnego, szukam tylko prawdy. Jeszcze raz pytam: czy Aspazya bluźniła przeciw bogom?

gdzie winnice i ogrody zajmują wielkie obszary, występowały jednak i ciemne strony. Plagą tej drobnej własności jest zbytnie rozdrobnienie gruntów, i duch egoistycznej wyłączności, który się w chłopstwie francuskim silnie zakorzenił. Wady te z niezwykłą jasnością i siłą wykazał niedawno Paweł Lafargue w cennych swych studyach o konkurencyi amerykańskiej i własności ziemskiej we Francyi (drukowanych w *Journal des Economistes*). Autor przychodzi do wniosku, że wobec współzawodnictwa amerykańskiego drobna własność nie utrzyma się i prędzej lub później zostanie pochłonięta przez wielką. Przeszkadzają jej rozwojowi techniczne warunki uprawy i zupełna nieudolność włościan do łącznego działania. Lafargue jest zwolennikiem poglądów Marxa i w tym kierunku wytknął wyniki swych badań.

Nie wszyscy jednak godzą się na nie. Na zbytnie rozdrobnienie działów włościańskich niektórzy usiłują znaleść środek w wyłączeniu od obdłużenia i zajęcia ściśle określonych jednostek gospodarczych, tak zwanych *home-stead*, ojcowizn, a nawet w utworzeniu majoratów chłopskich. O tych „home-stead“ Rudolf Mayer wydał świeżo ciekawą pracę, a Laveleye podobne urządzenia znalazł w czasie tegorocznych swych odwiedzin w Bośnii, jako tradycyjną instytucyę, potwierdzoną obecnie przez rząd austryacki. Nietykalność ojcowizn może jednak, co najwyżej, uchronić od zupełnego wywłaszczenia i drapieżności lichwiarskiej, kwestyi jednak nie rozwiąże. Rozwiązanie to znaleść tylko można na drodze pogodzenia drobnej własności z wymaganiami technicznego i społecznego rozwoju. Środkiem do tego ma być stowarzyszenie.

Włościanin francuski od wieków znajduje się w warunkach, które nie mogły w nim wyrobić ani popędów do ulepszeń, ani ducha solidarności. Przez długie wieki wywalczać on musiał przedewszystkiem swobodę osobistą i prawo posiadania gruntu, który w pocie czoła uprawiał. Ta walka o niezależność osobistą i kawałek ziemi wytworzyła w nim właściwości, które cechują dziś francuskiego włościanina. Swobodę osobistą cenił on, bo po za nią znał tylko zawisłość, do kawałka ziemi przywiązywał się ślepo, namiętnie, bo musiał go bronić przeciwko wszystkim, nawet przeciwko swoim, a wydarłszy, strzegł jak skąpiec zdobytego skarbu. Cechy te negacyjnego, obronnego przeważnie charakteru, doprowadzone do ostateczności uczyniły chłopa francuskiego ślepym na wszystkie ulepszenia i głuchym na wszelkie pobudki do wspólnego działania. Dziś jednak warunki się zmieniły. Drobny ziemski posiadacz nie potrzebuje się obawiać zamachu na swą osobę i własność, może więc śmielej zwrócić się ku oświacie ogólnej i zawodowej, oraz ku łącznej działalności zbiorowej.

Na postępie w tym kierunku opierają swe nadzieje ci, którzy w stowarzyszeniu widzą potężną dźwignię rozwoju drobnych gospodarstw. Inicyatywa wychodzi z dwóch krańcowych obozów jednocześnie. Konserwatywno-chrześciańscy socyaliści w organach swych *Reforme sociale* i *Association catholique*, i na różnych zebraniach apostołują zakładanie stowarzyszeń rolniczych dla drobnej własności. Takich *Kółek włościańskich* domaga się też obóz demokratyczny. Najgorliwiej dotąd wystąpili furyerzyści w miesięcznikach swych. *Revue du Mouvement social et économique* i w *l'Avenir des Campagnes*.

Działalność w kierunku stowarzyszeń rolniczych opiera się we Francyi na świeżo wydanem prawie (z dnia 21 maja 1884) o syndykatach zawodowych. Wcieliło się już ono w organizacyę robotników miejskich, przedstawia jednak pewne braki w zastosowaniu do stowarzyszeń właściwych. Według brzmienia ustawy zadaniem syndykatu ma być obrona interesów pewnej grupy ludzi pracujących; nie jest on wszakże osobą cywilną, nie jest właścicielem stowarzyszeniem. Dla usunięcia różnych szkopułów, czekać należy na nowe prawo o stowarzyszeniach, które w niedługim zapewne czasie będzie uchwalonem i zreformuje wadliwą już dziś ustawę z r. 1867.

Mimo to, ruch w sferze syndykatów rolnych, aczkolwiek świeży bardzo we Francyi—powiada p. Leinousin w *Revue du Mouvement social*—budzi się nader szybko; różne stowarzyszenia rolnicze przekształcają się według tego wzoru; można także dostrzegać federalistyczne dążenia pod postacią związków przewodniczących, syndykatów danego okręgu. P. Roubi powiada znów w *l'Avenir des Campagnes*, że „czy chcą, czy nie chcą mieszkańcy wsi znaleść muszą ucieczkę w stowarzyszeniach, do których popychają ich prawa ekonomiczne.“ Ekonomiści już zaczynają się obawiać (Chevalier w *l'Economiste français* z dnia 7 czerwca 1884), żeby ostatecznie nie utworzono wszędzie stowarzyszeń produkcyjnych rolniczych.

Nie możemy tu wyliczać wszystkiego, co zrobiono dotąd, nadmienimy tylko, że gdy konserwatyści organizują kółka włościańskie w sposób hierarchiczny, wprowadzając do nich osobną grupę członków protektorów, biorących udział w stowarzyszeniach jako przewodnicy i dobroczyńcy, nie korzystających jednak z nich bezpośrednio—żywioły postępowe urządzają je na podstawach zupełnie demokratycznych.

Równolegle z tym ruchem gromadnym ku zakładaniu stowarzyszeń rolnych, władza państwowa i samorząd wzywane są także o pilną opiekę nad drobną własnością. W każdym departamencie istnieją płatni przez rząd agronomowie, obowiązani objeżdżać powierzane im okolice i czuwać nad interesami rolnictwa. Podczas odbytych niedawno sesyj rad departamentalnych, podniesiono także projekt zakładania pól doświadczalnych po kantonach, a nawet po gminach większych. Pola takie byłyby rodzajem stacyi doświadczalnych, pozostających pod naczelnym nadzorem agronomów departamentalnych, a w bliższem zawiadywaniu kółek rolniczych. Urzędowi gospodarze i lustratorowie, zwiedzając swoje okręgi, mogliby posługiwać się temi polami w swych konferencyach o rolnictwie.

Dodawszy do tych usiłowań starania około podniesienia skali ogólnego i zawodowego wykształcenia ludności wiejskiej, tani kredyt ludowy, zabezpieczenia od ognia i strat przeróżnych — otrzymamy zbiór środków zdolnych poruszyć lud wiejski z biernego odpornego stanowiska, które nie ochroniłoby go od zagłady przez gospodarkę kapitalistyczną, zbrojną wszelkiemi środkami i zasobami wyższej kultury.

Zwróćmy się jednak w inną nieco stronę, nie wychodząc wciąż z Francyi prowincyonalnej. Dnia 18 z m. odbył się w Quimper w Bretanii zjazd bretończyków,

---

Protagoras.

Nie, bo jeśli uznawała ich byt, musiała ich czcić, jeśli zaś nie uznawała, nie miała komu złorzeczyć.

Archont.

Czy wiodła życie rozpustne?

Protagoras.

Nie.

Archont.

Czy nakłaniała młode dziewczęta do upadku?

Protagoras.

Nie. To jest zajęcie mężczyzn, nie kobiet.

Archont.

Przeczysz stanowczo?

Protagoras.

Przepraszam sąd, jeśli mu tem przykrość sprawiam, ale — przeczę (*odchodzi*).

Archont.

Tucydydes!

Tucydydes.

Upodobania moje i zasady odsuwały mnie od podsądnej i tego koła, w którem się ona obracała; rozgłos wszakże jej — delikatnie mówiąc — popisów był tak wielki, że i mnie dosięgał. Nie przytaczam pogłosek, nie powołuję się nawet na ludzi dla mnie całkiem wiarogodnych, ale dla przeciwnej strony zapewne nie dość rzetelnych; powtórzę tylko to, com słyszał od człowieka, szczególnie poważanego w domu Peryklesa. Anaksagoras, z którym mnie kiedyś łączyła przyjaźń, zanim ją zerwały powody, w skardze mojej przeciw niemu wyłożone, żalił się raz przede mną, że Aspazya nadużyła jego imienia, że w ochronie, będącej pozornie pod jego opieką a mającej dawać przytułek małym niewolnicom, wyprawiano orgie z dorosłemi i że wszystkim tym — delikatnie mówiąc — sprosnościom przewodniczyła Aspazya, a głównie w nich uczestniczył jej tak zwany mąż.

Jeden z sędziów.

Wytłomacz nam obywatelu, dziwną zagadkę: Aspazya była piękna, Perykles również, kochała go, on ją także, jak więc z tem pogodzić wzajemną ich dla siebie pobłażliwość, a nawet usłużność w pobocznych miłostkach?

Tucydydes.

Byłoby to dziwnem w sferze naszej, wyższej, gdzie uczucia są czyste, a związki religią i prawem umocnione. Ale w tym światku bezwzględnej — łagodnie nazywając — równości i swobody, do którego należy podsądna, stosunki trwałe nie istnieją a moralność dyktują każdemu zmysłowe popędy (*odchodzi*).

Archont.

Co ma nam do powiedzenia Diofites?

Diofites.

Podobnie jak Tucydydes, usuwam wieści i opinie ludzi, których bezstronność mogłaby być kwestyonowaną, i powtórzę jedynie to, co mi mówił Fidyasz. Otóż mimo swego ślepego uwielbienia dla Aspazyi, sarkał na jej szyderstwa z religii. Tak np. wspominał mi, że często rozbierała ona, śród rzęsistego śmiechu obecnych, czy Zeus miewa katar i kaszel? Ponieważ nie jest to poważne zagadnienie filozoficzne, więc zdradza tylko chęć bezmyślnego bluźnierstwa. Tego rodzaju zaś rozprawy były ulubionym jej przedmiotem.

Archont.

A co do jej moralności?

Diofites.

Słyszałem opowiadania tak straszne, że przed niemi zamykały się moje uszy.

Archont.

Mianowicie.

Diofites.

Chociaż sprawiedliwość wymaga ode mnie świadectwa całkowitego i szczerego, język mój nie nawykły do słów brudnych, odmawia mi posłuszeństwa. Proszę, ażebym dalej badanym nie był, gdyż milczeć muszę. (*odchodzi*).

pielęgnujących swój język rodzinny i przywiązanie do ziemi ojczystej. Wycieczka do Quimper odbyła się z pobudki stowarzyszenia bretończyków istniejącego w Paryżu. Towarzystwo to założone zostało niedawno, dopiero w r. 1879, obrawszy sobie dożywotnim prezydentem głośnego uczonego i myśliciela, bretończyka z krwi i ducha, Ernesta Renana. Członkowie zbierają się raz na miesiąc w Paryżu, w jednym z zakładów publicznych, położonych nieopodal kolejowego dworca na Montparnasse, skąd idzie droga ku Bretanii. Na posiedzeniach tych, mających charakter przeważnie towarzyski, panuje język bretoński, odbywają się zajmujące wykłady i śpiewa się stare celtyckie *gwerz'e* lub *sonady* ludowe. W pierwszych latach swego istnienia towarzystwo nie odważyło się na dalsze wycieczki w strony rodzinne. Pierwsza taka wyprawa, połączona ze zjazdem bretończyków ze wszystkich pięciu departamentów prowincyi, odbyła się w roku zeszłym w Tréguier. Tegoroczna była drugą z kolei. Zaznaczyć wypada, że Renan przyjmowany był, zarówno roku zeszłego w swym mieście rodzinnem w Tréguier, jak i obecnie w Quimper z ogromnym zapałem przez wszystkich zebranych. Na ochłodzenie tego przyjęcia nie wpłynęła bynajmniej opinia, jakiej używa autor *Życia Jezusa* w sferach klerykalnych. Bretania, ta Litwa francuska, jest bardzo nabożną i bardzo katolicką, tym razem jednak zapał narodowy przeważył nad klerykalnymi skrupułami.

Zjazd liczył przeszło 900 osób. Przepędzono dni parę, na ucztach, wycieczkach i zabawach. Mer miejscowy pozdrawiał serdecznie przybyłych gości, poczem jeden z starych bardów miejscowych witał Renana wierszem w języku celtów bretońskich treści następującej:

„Szczęśliwy, który, szukając, jak Ty, prawdy w księgach, znalazł w nich mądrość, spokój ducha i współczucie dla wszystkiego, co cierpi... Gdy przybywasz w nasze strony, ziomek twój z rodzinnego Tréguier wita cię całem sercem. Jesteśmy dziś francuzami i gorąco kochamy Francyę—Bretania jednak jest naszą babką i pozostaniemy zawsze bretonami!...“

Z długiej, wypowiedzianej z całą swobodą mowy Renana przytoczymy kilka charakterystycznych ustępów.

Wyrażając radość z przybycia między swoich szanowny prezes zgromadzonych celtów odezwał się w te słowa: „Życie dziwnie się układa. Urodzony w Tréguier dotarłem w mych podróżach, w kierunku wschodnim aż do Antiochii, w północnym do Tromsoë, w południowym aż do Assouan a dziś dopiero odwiedziłem Quimper. Nasza rasa przywykła robić takie dalekie podróże, gdy woła ją obowiązek... Świat słucha nas chętnie, kiedy mówimy mu o jego interesach ogólnych; mamy bowiem dar sympatyi, tę intuicyę, to—jeżeli wolicie — złudzenie, które w każdym człowieku, powiem nawet w każdej istocie ożywionej, pozwala nam dotykać bratniego nam życia, w każdym kwiecie pokazuje nam uśmiech, w całym wszechświecie każe nam widzieć wielkie dzieło miłości. Aczkolwiek więc mali jesteśmy, mamy swoje miejsce wytknięte w ruchu ogólnym i spełniamy swą powinność. Pozwólcie mi nawet zauważyć, że świat zrobiłby może dobrze, gdyby nas więcej słuchał i bardziej zważał na nasze skromne uwagi. Plagą naszego czasu jest niepomiarkowanie w sądach, coś gburowatego i zuchwałego, jakiś ton stanowczy, który przystawałby tylko temu, ktoby był w posiadaniu prawdy bezwzględnej. (I wtedy jeszcze!.. Sądzę, że ktoby przywilej taki posiadał, byłby bardzo skromnym). My właśnie, których różne okoliczności trzymały dotąd zdala od wielkiej areny światowej, mamy mniej pobudzone nerwy, umysł bardziej zsiadły. Zapominają nieraz, że Bretania podczas Rewolucyi trzymała z żyrondystami nim wdała się w szuaneryę... Jesteśmy ludźmi umiarkowanymi we wszystkiem. Usposobienie to powinniśmy zachować, świat bowiem, stając się nieprzejednanym i nieomylnym, wyradza się w brutalną walkę na pięście. Każdy uważa się za zbyt mądrego; błogosławieni, umiarkowani i oględni w zdaniu...“

W tym tonie dobroduszno-bio|ijnym ciągnął dalej mówca:

„Demokracya naprzykład jest niewątpliwie jedną z uprawnionych potrzeb naszego czasu. Bardzo dobrze. Otóż sądzę, że jesteśmy bardzo dobrymi demokratami... Nie znam kraju, w którymby silniejszem było poczucie równości. Lato ubiegłe przepędziłem w Perros, w małej wiosce, wśród ludzi biednych; pewna nasza zamożność mogła się im wydawać bogactwem — jednak nie imponowało to im bynajmniej. Skoro tylko przemówiłem do nich po bretońsku, uważali mnie za jednego ze swoich. Ponieważ przyjętem jest, że w „wysokich krajach,“ w jakich przebywałem, dosyć jest schylić się, ażeby zbierać złoto, uważali to za zupełnie naturalne, że byłem od nich nieco bogatszy. Nie przychodziło im zresztą, równie jak i mnie do głowy, żeby była inna jaka między nami różnica... Również co się tyczy wolności. Uważają nas za wsteczników zakamieniałych, gdy tymczasem jesteśmy bardzo dobrymi liberałami. Pragniemy swobody dla siebie i dla innych. To straszne zagadnienie religijne, które jak zmora ciąży nad wiekiem dziewiętnastym, my byśmy rozwiązali, gdybyśmy sami tylko byli na świecie. Jesteśmy bardzo religijnymi; nigdy się nie zgodzimy na to, żeby nie było na świecie uczciwości, ażeby losy człowieka były bez żadnego związku zidealem... Przystajemy jednak chętnie na to, ażeby każdy według gustu snuł sobie legendę nieskończoności... Bretania była w pewnych epokach zabobonną, nigdy atoli nie była fanatyczna. Wszystkie nasze stare rasy Zachodu i Północy były i są jeszcze przesądne, to Wschód tylko, zepsuty Wschód, jest fanatycznym...“

W dalszym ciągu Renan, odpowiadając na zarzuty jednego z swych krytyków, tak skreślił własny swój portret:

„Jestem zwykle szczerze wesół po pierwsze dlatego, że bawiąc się niewiele za młodu, zachowałem całą świeżość złudzeń; jestem następnie wesół dlatego, że czuję, iż w życiu zrobiłem wiele dobrego. W nagrodę pragnąłbym tylko zacząć życie na nowo... Nie jestem uczonym, jestem człowiekiem z ludu, potomkiem długiego szeregu nieznanych włościan i marynarzy. Korzystam z ich oszczędności myślowych (Je jouis de leurs économies de pensée); wdzięczny jestem tym biednym ludziom, że przez swą wstrzemięźliwość umysłową zgotowali mi tyle przyjemności. Oto jest cały sekret mej młodzieńczości. Jesteśmy pełni życia, gdy świat cały gada tylko o śmierci. Grupa ludzka do której zbliża-

---

Hermipos.

Żądam przesłuchania Ksantypa, syna Peryklesa.

Archont.

Ksantyp!

Ksantyp (*pijany, popychany przez Elpinikę, a następnie przez Tucydydesa*).

Oko w oko... nic.. Wolę napisać...

Archont (*do Hermipa*).

Co on ma zeznać?

Hermipos.

Że Aspazya namawiała jego żonę do nieuczciwego zarobku.

Archont (*do Ksantypa*).

Czy tak?

Ksantyp (*utkwiwszy wzrok w Peryklesa*).

Ojcze... ja nic... ojcze... Elpinika... obiecali majątek... Ojcze.. daj rękę pocałować... (*zbliża się do Peryklesa*).

Perykles (*cofając rękę*).

Odejdź.

Ksantyp.

Zaraz... Ojcze... ja nie... (*ucieka*).

Hermipos.

Ksantypie!

Ksantyp (*w tłumie*).

Będę u Hekatona.

Archont (*do Hermipa*).

Życzysz sobie jeszcze zbadania niewolnika Traksa.

Hermipos.

Tak.

Archont.

Sprowadzony?

Traks (*występuje i kłania się*).

Służę.

Perykles.

Niewolników, powołanych do świadczenia w sądzie, prawo dozwala poddawać torturze. Zastrzegam sobie ten środek w potrzebie.

Archont.

Widziałeś, jak pani twoja, obecna tu Aspazya zrywała oliwki w gaju Ateny?

Traks (*drżąc*).

Wracając od strony gaju, niosła raz kilka oliwek.

Archont.

Ale czy widziałeś, jak je zrywała?

Traks.

Zdaleka.

Perykles.

A ile ci zapłacono, ażebyś widział?

Traks.

Nic, panie.

Perykles.

Proszę, ażeby go wzięto na tortury.

Traks (*klękając*).

Litości, panie, czcigodni sędziowie, ja nie widziałem... świętego gaju podły niewolnik znieważać nie może... patrzyłem zdaleka... Zacni obywatele powiedzieli, że zrywała oliwki — uwierzyłem, bo dla czegóż śmiałbym wątpić.

Perykles.

Zrzekam się tortur.

Traks.

Ja nic nie wiem, biedne bydlę (*wymyka się*).

Archont (*do Hermipa*).

Masz jeszcze innych świadków?

Hermipos.

Wezwałem wielu, ale nie przybyli. Zresztą mniemam, że dotyczasowi, chcąc lub nie chcąc, w zupełności oskarżenie moje poparli.

Archont.

Obrońca podsądnej, Perykles, ma głos.

(D. n.).

my się najwięcej i która nas najlepiej rozumie—są to słowianie: są oni w położeniu podobnem do naszego, jednocześnie nowicyusze w życiu i dawni pochodzeniem... Nie, nie pojmiemy ludzkości, gdy będziemy ślepo trzymali się zasad ciasnego indywidualizmu...“

Oto jeden jeszcze pogląd oryginalny: „Rasa wydaje kwiat, gdy wypływa na wierzch z zapomnienia. Świetne plony umysłowe wytryskają z szerokiego podkładu życia bezwiednego—chce mi się prawie powiedzieć — z wielkich zbiorników ciemnoty... Nie obawiajcie się, żebym zalecał wam uprawianie ciemnoty; jest to roślina, która wyrasta pomyślnie tylko sama, dziko; pomimo, oświaty obowiązkowej i całkowitej nie zbraknie jej nigdy. Obawiałbym się jednak o losy ludzkości w dzień, kiedy świadomość przeniknęłaby wszystkie warstwy. Skąd zrodziłby się geniusz, który jest zawsze prawie rezultatem długiego poprzedzającego snu? Skąd brałoby się instynktowe poczucie, śmiałość i odwaga, które są dziedzicznemi, miłość szlachetna, która nie ma nic wspólnego z refleksyą, wszystkie te myśli, które same nie zdają sobie sprawy z siebie, które są w nas pomimo nas i tworzą najlepszą część zasobu rasy i narodu...“

Niepodobna odmówić uwagom tym, mimo ich widocznej jednostronności, pewnej głębi, cechującej ludzi tego polotu, co Renan. Autor *Początków chrześciaństwa* obiecał swym współziomkom, wśród tych wynurzeń, spisanie swych *Souvenirs de Vieillesse.*

Z wiadomości bieżących notuję *pierwszy* we Francyi *wolny* zjazd pedagogiczny międzynarodowy, który się rozpoczął w Havrze dnia b. m. i trwał dni kilka. W kongresie wzięło udział 2,000 nauczycieli i 400 nauczycielek. W liczbie tej było 70 cudzoziemców. Departamenty francuskie nader niejednomiernie uczestniczyły w tym wiecu. Niektóre przysłały po 100 nauczycieli — inne ani jednego. We Francyi dotychczas odbywały się tylko zjazdy nauczycieli pod komendą i według programu wyższych władz szkolnych, to też minister oświaty p. Goblet w swem przemówieniu do członków usilnie zapewniał ich o tem, że kongres jest wolnym. Nie mógł jednak powstrzymać się od nakreślenia swego własnego planu i wyjęcia niektórych kwestyj, jako przesądzonych, z pod rozbioru. Do szczególnych wyników zjazd nie doprowadził — przełamano jednak pierwsze lody.

Jednocześnie odbywała się w lasku Vincennes pod Paryżem końcowa uroczystość zjazdu stowarzyszeń strzeleckich i gimnastycznych. Wzięło w niej udział 42 stowarzyszeń należących do związku Sekwany, 16 nie połączonych w żaden związek, 16 stowarzyszeń departamentalnych, jedno szwajcarskie — razem 73 grupy. W korowodzie ostatecznym uczestniczyło 130 stowarzyszeń. Przeszło stotysięczny tłum publiczności przypatrywał się tej defiladzie. Z powodu wieści, nadchodzących z Hiszpanii, przewodniczący Ligi patryotycznej był mocno oklaskiwany. Nagabywany dosyć natarczywie, ażeby przemówił, odpowiedział tylko, że „musimy milczeć obecnie, ażeby lepiej słyszeć“ — co wywołało całą burzę oklasków.

Z nowin teatralnych donoszę o przygotowującem się wystawieniu *Germinala* Zoli na scenie „Chatelet.“ Powieść tę przerobił dla teatru Busnasch, który scenizował już poprzednie utwory mistrza francuskiego naturalizmu. W przeróbce tej strona obyczajowa ma być usuniętą na plan dalszy, zaakcentowana zaś silnie społeczna tendencya powieści. Wystawa ma być świetną.

P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Ks. Eljasz Meric **Życie przyszłe**, na język polski przełożył ks. Jan Prusałajtys, tom I, Warszawa.

Przybycie tej książki do naszej redakcyi zdziwiło nas niepomiernie. Czego ona od nas chce? Uznania chyba nie, więc sporu, krytyki? Ależ na 235 stronic przestarzałych majaczeń trzeba odpowiedzieć tysiącem stronic sprostowań i przeczeń. Doprawdy lepszem jest kazanie zwykłego proboszcza, który szczerze wyznaje: *credo quia absurdum*, niż te faszerowane gwałconą nauką, niby filozoficzne dzieła. Wyglądają one bowiem jak woły na wiosnę, których stara szerść pokryta jest płatami nowej. Mistrze wiedzy nie są tu bez sądu paleni na stosie, ale pokonywani jezuicką sofistyką lub zapędzani do klerykalnej winnicy. Ks. Meric rozprawia o zagadnieniach najrozmaitszych, głównie zaś o mających związek z „życiem przyszłem,“ wojując z pozytywistami i wogóle przeciwnikami metafizyki. Ażeby nie załatwić się z nim gołosłownie, przytoczymy choć próbkę jego rozumowań. „Uczony—powiada on—opierając się na doświadczeniu z dokładną wagą ścigać będzie każdy atom, każdą cząstkę zrujnowanego ciała, podda analizie sole i kwasy, wydzielające się z niego, i dowiedzie z oczywistością, wyłączającą wszelką wątpliwość, że materya nie podlega zniszczeniu, że żadna cząstka mojego ciała nie ginie i że pod rozmaitemi a znanemi formami odbywa ona swoje przekształcenia, czyli nieustannie odnawiające się metamorfozy. Otóż, jeżeli materya nie podlega zniszczeniu, jeżeli nauka z taką ścisłością dowodzi, iż nic w świecie ciał nie ginie a wszystko żyje i odnawia się, to samo *powinno być i z duszą*, za życia nieoddzielną od ciała, a nauki filozoficzne powinny dowieść tej trwałości duszy, jak nauki fizyczne dowodzą trwałości ciał.“ Naturalnie dla słuszności tego wywodu brak tylko jednej drobnej rzeczy, ażeby uczeni dowiedli istnienia duszy, która w chwili śmierci organizmu rozłącza się z ciałem, czego wszakże ks. Meric, zmarnowawszy dużo czasu i atłasu, nie dokazał.

A. J. Sęk **Bawmy się w żołnierzy**, Kraków.

Hrabia January, wskazując na portrety swych przodków, mawiał nieraz, że „ci krajowi chwały przysporzyli“ i żałował, że jemu nie nadarzyła się „sposobność.“ Nadarzyła się wreszcie po śmierci żony i hrabia powrócił z wyprawy, niosąc łup—pannę Helenę, która miała rozpraszać mu smutki w wielkiej „pustelni.“ Helena nudziła się śmiertelnie, z niepokojem więc oczekiwała przybycia syna Januarego, który właśnie znalazł „sposobność,“ zebrał drużynę i gotował się do walki. Ale w chwili gdy szybko posuwa się w łaskach u Heleny i już ma usunąć ostatnią kruchą zaporę, donoszą mu, że „wojsko we wsi.“ Amor zmyka a Psyche powiada do służącej:

— „Jeżeli przyjdzie tu pan pułkownik, ten, co z wojskiem przyszedł, poproś go do mnie, tu do gabinetu...“

Maleńki ten obrazek nakreślony jest zręcznie i żwawo. Najważniejszą jego zaletę stanowi świeżość, pomysł i brak powszedniości, który jak grzyb siedzi na pniu naszej literatury powieściowej. P. Sęk niedawno trzyma pióro autorskie (zdaje się debiutował w *Tygodniku powszechnym*), ale objawił już talent. Utworowi jego przydałaby się ostatnia korekta artystyczna i językowa.

H.

Wanda z Dowgiałłów Trzcińska. **Jurek**, powieść społeczna, Kraków, nakł. K. Bartoszewicza 1885.

Udział kobiet w naszem piśmiennictwie bieżącem wzrasta z każdą chwilą. Nie mówiąc o tłómaczeniach, z których przedsiębiorstwa dziennikarskie zrobiły specyalność biednych wyrobnic, utwory oryginalne panien, wdów i mężatek w coraz większej ukazują się liczbie. Zjawisko to, wskutkach swych dla piśmiennictwa przeważnie smutne, nie jest jednak ujemnem naszego rozwoju umysłowego znamieniem. Wiele wprawdzie zawdzięczać należy: cierpliwości papieru, względnej taniości druku, lepiej prowadzonemu dziś księgarstwu itp., niemniej wszakże gromadne występowanie kobiet na polu pióra świadczy jak o rozbudzeniu się wśród nich życia umysłowego, tak też i o pewnem podniesieniu poziomu uczuć obywatelskich, dla których piśmiennictwo dość wdzięczną przedstawia glebę. Nawet po usunięciu na stronę wszystkich bez sensu kwilących i gruchających turkawek i synogarlic, wszystkich papug, powtarzających bezmyślnie przebrzmiałe zdania ojców i mężów—staniemy wobec dość poważnego jeszcze szeregu dzielnych pracownic, których widok pozwala wierzyć, iż przepaść umysłową pomiędzy nowoczesnym mężczyzną i kobietą da się z czasem zapełnić. Do szeregu tego wchodzi, a przynajmniej w najbliższej przyszłości wejdzie p. Wanda z Dowgiałłów Trzcińska, autorka wydanej obecnie „powieści społecznej“ p. t. *Jurek.*

Zawartość tej książki, której wydawcą—p. K. Bartoszewicz z Krakowa, postaram się w kilkunastu streścić wyrazach. Jest to smutna epopeja zwyrodniałej obyczajowo, zbankrutowanej materyalnie, rozbitej i rozprzężonej społecznie kasty szlacheckiej. Bohater powieści *Jurek* — „chociaż letkiewicz i waryat, lecz w gruncie najlepszy człowiek“ zabiera znajomość z czytelnikiem, jako bezpłatny dzierżawca *Owsianki*—folwarku bogatego i bezdzietnego stryja. Pani Stefania—żona Jurka—wychowana w domu przez cnotliwą matkę, nie umiała zbyt wiele, pomimo to jednak, a może dla tego właśnie, była „materyałem na prawdziwie polską żonę, która potrafi być gospodarną, kochać męża i wychować dzieci.“ Tak typowo dobrane stadło mieszka w Owsiance, gdzie, pomimo korzystnych warunków dzierżawy, Jurek brnie w długi: operacye przy zielonym stoliku, pod zwierzchniem kierownictwem Moszków i Josielów dokonywane, są osią działalności „najlepszego w gruncie człowieka.“ O moralno-umysłowej jego niepoczytalności i względnie mniejszem stopniu winy dają wyobrażenie powody, jakie sam ku obronie swojej przytacza: „Wszystkiemu winna ta Owsianka... Jak bywają pieniądze nieszczęśliwe, tak są i miejscowości nieszczęśliwe... Choćby tu przyjechał sam profesor z Dublan lub Żabikowa, to nic nie zrobi... musi się zadłużyć.“ Oprócz specyalności karcianej, najlepszy człowiek, siał między wiejskiemi dziewczętami straszną demoralizacyę. „Z uwodzenia utworzył sobie rodzaj prawdziwego sportu, któremu oddawał się całą duszą... Zaczepić, namówić, uwieść—to rzecz tak prosta! Nie przypuszczał nawet, że robi coś złego.“

Po śmierci stryja Jurek staje się nieograniczonym prawie panem milionowej posiadłości, przekazanej w spadku małemu jego synkowi, a nadto przechodzi nań moralny obowiązek prowadzenia dalej obywatelskiej działalności nieboszczyka. Zasadzała się ona na podnoszeniu materyalnego dobrobytu i oświaty ludu. Ulegając namowom dwóch swoich przyjaciół-rezydentów—Alberta i Hyacynta, dogadzając własnym upodobaniom, bohater unika starannie stosunków z porządniejszemi domami okolicznego ziemiaństwa, z arystokracyą, wśród której nie chce się znaleźć „na szarym końcu,“ a za to „jednoczy“ i zbliża do siebie mniejsze dworki szlacheckie, pobliskie mieszczaństwo i urzędników, pomiędzy

którymi może panować niepodzielnie. Owocem tej pracy jest rozbudzenie w sąsiedztwie chęci zbytku i dorównania „pałacowi,“ moralne i materyalne bankructwa. Gra w karty i uwodzenie dziewcząt przybierają coraz szersze i bardziej „przodownicze“ rozmiary: w pałacu ciągłe zabawy i orgie, dokoła zaś niego — wzrastająca z dniem każdym niedola chłopów, łzy i przekleństwa ludu. „Najlepszy człowiek,“ dzięki lekkomyślności swej, stopniowo staje się podłym; idąc za radą Alberta, sprzedaje żydom weksle chłopskie i kilku gospodarzy wyzuwa w ten sposób z ojcowizny. Jedna z uwiedzionych przez niego dziewcząt topi się w stawie, pogrążając w rozpaczy narzeczonego, człowieka uczciwego i rozumnego, któremu nieboszczyk dziedzic dopomógł do zdobycia wiedzy i majątku. Szereg tych następstw pijanego przodownictwa kończy się orgią, podczas której pani Stefania, nie mogąc znieść dłużej rozpusty męża i grubiaństwa jego rezydentów, ucieka z dziećmi do matki. Opuszczony Jurek pociesza się winem, majaczy gorączkowo na temat „zacnych przodków“ i zasypia wśród stosów butelek, pośród „żółciowych ekskrecyj“ spojonej hałastry.

W umysłowej i moralnej niepoczytalności naszych „poczciwych w gruncie letkiewiczów“ niektórzy pisarze zdają się widzieć okoliczność łagodzącą przewinienia kasty szlacheckiej. W poglądzie tym jest zapewne część prawdy, ale zarazem musi on doprowadzić do zupełnego odrzucenia teoryi „przodownictwa.“ Ludzie, dla których świadomość własnych czynów nie istnieje—nie wielką dają rękojmię poprawy. Wobec zmienionych warunków bytu społeczno-politycznego tradycya rodów przestała być skutecznym hamulcem dzikich skłonności: życie przekonywa o tem codziennie, piśmiennictwo oznajmia co chwila. Typ Jurka nie jest bynajmniej nowym: oprócz innych odmian—mamy w literaturze naszej pierwowzór jego, skreślony w jednym z ostatnich szkiców Alberta Wilczyńskiego. Zjawisko więc jest dość częstem skoro i młodsze i starsze pióra natchnienie zeń czerpią. Pomimo to jednak w powieściopisarzach naszych żyje ciągle optymistyczna wiara w moralne odrodzenie się narodu pod przewodnictwem arystokracyi rodowej i szlachty. Do optymistów podobnych należy też p. Trzcińska.

Socyologowie nasi zrozumieć nie mogą, że zachowanie czci rodowej wiąże się ściśle z kastowością, z przywilejem, z odrębnością powołań i zajęć, z tem wszystkiem, przeciwko czemu dzieje lat ostatnich walczą bez wytchnienia. Zmiana stosunków majątkowych, zmuszająca patrycyuszów bratać się z tłumem, nakazująca ziemianinowi być aptekarzem, inżenierem, dentystą itp., podniesienie się umysłowego poziomu warstw niższych, inny porządek wytwórczości gospodarczej — wszystko to wpływa na mieszanie się krwi szlacheckiej z mieszczańską i chłopską, wprowadza bankierów i adwokatów pod osłonę tarczy herbowej, zawiesza ich portrety obok karmazynowych antenatów. Łatwo jest strzedz czystości imienia, blasku rodziny, gdy księgi jej rodowe, jak regestr rasowych koni — zawierają w sobie szereg istot dobrze znanych i starannie od reszty społeczeństwa oddzielonych; gorliwość stróżów zmniejszyć się jednak musi, gdy boczne rozgałęzienia głównego pnia giną gdzieś w ciemnych zaułkach miasta, w podejrzanych kantorach bankierskich, za kulisami drugorzędnych teatrów. Hrabia spokrewniony z przekupką, z pachciarzem itp. nie może być tak żarliwym obrońcą swojej czci rodowej, jak czystej krwi potomek senatorów Rzeczypospolitej. Odwoływać się więc do tradycyi „antenatów“—wtedy, gdy bieg wypadków dziejowych nakazuje już gdzieindziej szukać moralnego oparcia — jest to chcieć historyę powstrzymać na miejscu. Program pracy u podstaw pod moralnem przodownictwem szlachty, jako takiej, program, którego zwolenniczką jest autorka—musiał już oddawna stracić powagę w oczach ludzi zdrowo myślących. Zawiera się w nim jaskrawa niedorzeczność socyologiczna: szlachta — gdy dla dobra kraju chce działać — nietylko wierną swej tradycyi być nie może, lecz zdradzać ją musi na każdym kroku. Mało kosztujące niegdyś cnoty domowe — mogły istnieć dopóty, dopóki barbarzyństwo możnowładcze, stosunek pana do chłopów itp. były zwyczajnem zjawiskiem społecznem i *podwaliną ustroju.* Utrzymywanie włościaństwa na poziomie rozwoju bydlęcego było zarazem skutkiem i warunkiem istnienia danej formy społecznej, za dobrą uznanej; utrzymywanie więc takie nikogo nie demoralizowało i cnotom domowym pozwalało się rozwijać i kwitnąć. Dziś przybrało ono postać występku, którego sprawca nie może nie rozsiewać dokoła siebie zgnilizny obyczajowej. Szlachcic, pragnący zbliżyć do siebie chłopa majątkiem, wykształceniem, ogładą — jest albo maniakiem, albo hipokrytą, albo uczciwym, ale znękanym człowiekiem, któremu głos powinności nakazuje wyrzec się najdroższych wierzeń i ideałów: człowiek, który różnicę kast zaciera, nie może być, w zwykłych warunkach, zwolennikiem kastowości; imię szlachcica, arystokraty musi on zmienić na miano obywatela kraju— w jak najszerszem i najmniej kastowem pojęciu.

Poza obrębem wytkniętej tu socyologicznej sprzeczności, społeczne poglądy autorki, jej gorące współczucie dla ludu, jej miłość dla kraju, na zupełne zasługują uznanie. Psychologiczne uzasadnienie charakterów, realizm obserwacyi życiowej, również mało pozostawiają do życzenia. Pod względem artystycznym powieść nosi na sobie piętno nowicyatu. Części pojedyncze, jak gdyby doryweczo, pod wpływem silnych wrażeń kreślone, nie mają należytej spójności: postacią zewnętrzną i treścią zdradzają wielką różnolitość. Wątek żywego, energicznie i po męzku prowadzonego opowiadania przerywa np. nagle *kilka listów* jakiejś Wandy do jakiejś Jadwini. Listy te wiążą się z całością osnowy, czytelnikowi jednak sprawiają dziwną trochę niespodziankę i każą przypuszczać, że autorka ćwiczy się dopiero, próbując rozmaitych form twórczości piśmienniczej. Razi też zbytek erudycyi, właściwy utworom powieściowym młodych pisarzy, a psujący wrażenie artystyczne. Pani Trzcińska przez usta jednej z osób swej powieści opowiada nam dość długo ile milionów lub tysięcy marek i franków zyskują różne państwa Europy za jabłka i gruszki. Bohater jej nie krzywi się z bólu, ale za to „mięśnie twarzowe ściągnęły się w grymas, wyrażający ból,“ na innem miejscu dowiadujemy się o „rezultatach przekrwienia błon mózgowych,“ gdzieindziej słyszymy, „że *Magnolia* sąsiaduje z *latanią,* nad niemi zawiesza się *tradescentia multicolor,* i *senecio crassipes*; tu znów *Kentia* kryje się pod festony *Clemetis'u,* a *Cycas* wdzięczy się z objęć *caprifolium,*“ jeszcze dalej bohater stuka do drzwi „*brzuścem* wskazującego palca“ (stukania uczył się chyba w cyrku). Niekiedy rażącą znów bywa logika porównań i przenośni: „majowa zieleń okryła drzewa i ziemię, jak *całun* smaragdowy.“

Natomiast w całej powieści pełno pięknych scen i obrazów. Dobrą jest np. sprzeczka małżeńska Jurka ze Stefanią, po przegranej w karty; prawdziwie udatną kłótnia na balu dwóch urzędników „nowego autoramentu,“ pięknym opis pożaru, wyborną sylwetka pokątnego doradcy albo raczej wichrzyciela, który tak prawi. „Pany teraz do czorta! odbiorą ci im ziemię i dadzą biednemu narodu. Jakem służył w grenadierskom tawryczeskom pałku, to ci postąpił w ten połk wolno-opredielajuszczyj; młody chłopak, ale wszystko wiedział. To on powiadał, co zna wielgie pany, to on dobrze wie. To ci on gadał, co panom odbiorą i dadzą biednemu narodu, bo pany próżniaki, nic nie robią ino zbytkują, a ciek się biedzi i głodu pzymira.“ Dla „niebezpiecznego indywiduum“ autorka przygotowała w swej powieści grunt odpowiedni. Nadewszystko celuje p. Trzcińska w odtwarzaniu scen rozpustnych i lubieżnych, których w utworze jej jest mnóstwo. Za to pewną nieznajomość zdradza w malowaniu życia studentów. Jako niezbyt dawny jego uczestnik, mogę zapewnić, że *mleko* nie zastępowało im nigdy szampana. Zbytkownego trunku nie znaliśmy wcale, zamiast niego jednak piliśmy nie mleko, lecz piwo, albo herbatę. Romantyczno-sentymentalny nastrój opisywanej młodzieży również nie zupełnie zgadza się z rzeczywistością. Język powieści poprawny i prawie czysty. Oprócz "odstawnych" rotmistrzów, brylantowych "refleksów," autorce zarzucić można to tylko, że ma ciągle „kłopota,“ że nie może „wytrzymać od śmiechu“ i że Marek mówi do ojca: „ojcze, co z Wami?“

W pani Trzcińskiej powitać więc możemy powieściopisarkę, która do gromady kwilących swe żale samiczek nie przylgnie, w życie społeczne głębiej wejrzeć potrafi, tętna jego dosłyszy i bóle szczerem sercem odczuje. Socyologiczne jej poglądy, jeśli ich zmienić nie zechce, szkody wielkiej nikomu nie wyrządzą, a gorąca miłość ludu i kraju nie jedną duszę drzemiącą rozgrzeje i zbudzi.

M. B.

LIBERUM VETO.

Prostujemy się. — Na jak długo? — Pociechy.— Sentymentalizm w wojnie.— Kto jest odpowiedzialnym.— Deputacya poznańska. — Cięższe brzemię. — P. Gubrynowicz w włosiennicy. — Wątpliwe poparcie. — Niepotrzebny dopisek do historyi. — P. Noskowski.— Marnowanie talentów. — Naród rozważny a lekkomyślny. — Drwina a ton poważny głosu publicznego. — Korepetytor za 3 rs. i zniżka płac.

. . . . Wspominałem już dawniej, że lżej patrzeć na gwałt, niż na dobrowolnie spłaszczoną przed nim pokorę. Do p. Puttkamera udała się z Poznańskiego deputacya, prosząca o łaskę dla skazanych na wygnanie. Nie krępuję ani uczuć, ani zasad moich czytelników, ale wyznam, że osobiście wolałbym uczestniczyć w nocnej wyprawie po gruszki do cudzego ogrodu, niż w tej deputacyi. Brzemię nędzy jest ciężkie, ale upokorzenie przed ciemięzcą jeszcze cięższe. Gdyby mnie wypędzono z Prus i nie pozwolono nawet zabrać kromki chleba i kija na drogę, poszedłbym w świat o głodzie i dopóty nie prosiłbym ani o pomoc, ani o pracę, dopóki by za mną nie zgłuchły echa mowy niemieckiej.

Przykład owego poselstwa pociągnął za sobą księgarza lwowskiego, p. Gubrynowicza, który „dla poparcia uchwały izby handlowej *gdzie się da*“ wyjechał do Berlina i zebrał po redakcyach *Zeitungów* litości dla wygnańców chociaż do 1 stycznia. „Prasa berlińska przyrzekła poparcie.“ Naprzód owa „prasa berlińska“ tylo zdziałać może u ks. Bismarka, ile on jej przez swych pomocników — rozkaże w przedpokoju. Przedpokój ten oblegają „kierownicy opinii“ bez różnicy stronnictw, czekając na jakiś szept lub znak, który im wskaże, gdzie mają zastawić swój rozum i sumienie. Poparcie więc takiej „potęgi świata“ jest o tyle wątpliwem, o ile byłoby bezsilnem. Kanclerz niemiecki, który nie ulega nikomu, miałby uledz kilku (w najpomyślniejszym wypadku!) artykułom dziennikarskim — taka naiwność nie potrzebnie chowała się we Lwowie. P. Gu-

brynowicz miał dobre chęci, odczuł nieszczęście skrzywdzonych, ale nie odczuł ich dumy — i dlatego zbłądził, do tylu smutków dołączył najboleśniejszą może — żebraninę. Ci wszyscy pośrednicy i obrońcy, którzy kołaczą pokornie do żelaznych wrot berlińskich, przekonają się o wartości swych usiłowań, gdy spostrzegą ich bezskuteczność. Dopiero wtedy żałować będą, że do historyi bezprzykładnego okrucieństwa dopisali z polskiej strony całkiem zbyteczne i niezaszczytne upokorzenie.

Chorobliwy sentymentalizm, który pociesza się, że kraj nasz, przyjąwszy wypędzonych, zyska dzielne i dobrze wyćwiczone siły, powinien by dla porządku w swej logice załatwić sprawę z p. Noskowskim. Artysta ten, który przez lat kilka kierował instytucyą muzyczną w Niemczech i sprowadzony został jako „dzielna i wyćwiczona siła,“ opuszcza swe stanowisko dyrektorskie w Towarzystwie muzycznem. Ostatecznych powodów tego ustępstwa nie znam, ale sądzę, że tkwią one w zwykłym naszym sposobie zużytkowywania ludzi znakomitych, który zresztą i tu wychylał się publicznie. P. Noskowski, z natury niegładki i obdarzony rozmaitemi kantami, od niemców nauczył się sterować twardą ręką. Ale co można w Konstancyi, tego nie można w Warszawie, gdzie od wieków szlachcic na zagrodzie jest równym wojewodzie. Każdy członek komitetu, ba, nawet Towarzystwa muzycznego nosił, w swym tornistrze żołnierskim buławę marszałka—jak tu tyloma marszałkami komenderować! Wkrótce też rozpoczęły się swary, intrygi, dołki i podstawiania nóg. Nowy dyrektor—na nieszczęście nie niemiec, nawet nie czech—rozwinął energię, zaprowadził zmiany w koncertach, probował stworzyć polską orkiestrę i wyprzeć z Doliny Szwajcarskiej niemców—i wszędzie spotykał bądź nieprzyjaźń, bądź obojętność, a w niektórych pismach systematyczne szykany. Wreszcie znużony, zdarty i poszarpany, ustąpił. Naskarżywszy się na obcych, powiedzmy sobie po cichu w domu, że posiadamy wielką zdolność marnowania ludzi utalentowanych. Zamiast z nich wydobyć na korzyść ogólną to, co stanowi ich siłę, wydobywamy to, co stanowi ich słabość, którą z upodobaniem wystawiamy na pokaz, do świata, zapominając, że w tej kociej muzyce ginie człowiek wartościowy. Autor bardzo pięknych dzieł, kompozytor oryginalny, poważny i wykształcony, zeszedł na stanowisko krzywej wierzby, po której wszystkie kozy skakały. Czy uszanowaliśmy w nim talent? czy daliśmy mu pole do rozwoju? czy, słowem, wyzyskaliśmy go dla sztuki? Ach, przecież go w ostatnich miesiącach zaprzęgano do operetek i życzono mu powodzenia. Powoli wielki talent malał, a my nie czuliśmy przytem żadnego wyrzutu sumienia, że znowu jeden klejnot pójdzie na śmiecie. To nasz zwyczaj. Gdyby między nami pojawił się Mozart z brodawką na nosie, wkrótce zapomnielibyśmy o jego geniuszu, a pamiętali tylko o brodawce. Jedna drobna śmieszność, jedna wada może nam zasłonić olbrzyma. Ogół przedewszystkiem chce się bawić, a prasa mu w tym guście dogadza, więc szydzi, drwinkuje, przypina łatki, szczypie i podgryza. Baco angielski był oszustem i łapownikiem, wsadzono go do kozy i zapisano mu winę w biografii, ale spożytkowano należycie jego dzieła; Baco polski pokutowałby tylko dotąd w książeczkach popularnych jako słynny zbrodniarz. Naród mądry i roztropny wyłuskuje ziarna z najwstrętniejszej łupiny i karmi się niemi; naród lekkomyślny i nieopatrzny rzuca te ziarna wraz z łupiną w błoto, a uczuwszy głód, nasyca się byle plewą. Czasem wystarczy to płochemu marnotrawstwu, że ta powłoka była chropowatą. Kpina nami rządzi, a ona do jądra nie sięga.

Zmarnowano też Noskowskiego, który mógł wzbogacać sztukę cennymi utworami i kierować umiejętnie Towarzystwem muzycznem, gdyby go nie szarpały rozmaite konfederacye i nie obrywały mu gruntu podkopy. Przypuszczam, że porzucając dyrektorstwo, chce on ratować swój talent, unieść go z pola, na którem nie wzrośnie, lecz zwiędnie.

Nie ma tak poważnej rzeczy, którejby pewien gatunek naszej prasy nie obrzucił swoim bladym humorem. Niedawno czytałem wiadomość o pewnym nieszczęśliwym stróżu, którego reporter tytułował wesoło „rycerzem miotły,“ a ręczę, że gdyby Warszawę nawiedziło trzęsienie ziemi i zostałz niej tylko jeden dom, mieszczący redakcyę „dowcipnego i ruchliwego“ pisma, doniosłoby ono nazajutrz: „gród syreni leży w gruzach.“ Przed paru tygodniami zaznaczono w paru dziennikach żartobliwie, że dla uzyskania korepetycyi za 3 rs. miesięcznie zbiegło się aż 12 studentów. Skutek owego doniesienia był taki, że zaczni ojcowie zaczęli nauczycielom swych synów zmniejszać, a nawet przepoławiać wynagrodzenia, a każdy tłomaczył się tem:

— Proszę pana, za 3 rs. miesięcznie dostanę tuzin korepetytorów, po co mam płacić 10?

Handlowa logika niepokalana. Możeby ona wszakże nie wyłaziła tak bezwstydnie, gdyby jej zgóry powiedziano, że wstydem gardzić nie należy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Epopeja założycieli nowej Polski. — Wniosek socyologiczny. — Benjaminek naszego społeczeństwa. — Stracona placówka. — Nieudatne próby. — Dalsze objawy samopomocy. — Ostrzeżenie.

Dekret rządowy dla prędszego zaludnienia obszarów syberyjskich ogłosił przed rokiem, mniej więcej, korzystne warunki nabywania ziemi w gubernii tomskiej. Osoby, pragnące robić majątek i cywilizować wschodnie kresy państwa, miały tam otrzymywać nietylko grunta darmo, ale i powną zapomogę na cele gospodarcze. Aby jednak dostać się do ziemi obiecanej, należało mieć pieniądze na drogę i to tem większe, im bliższym się było cywilizacyi zachodniej. Nie wiedzieli o tem chłopi z okolic Radomia; ponieważ zaś sąsiedztwo ich z zachodem jest tylko geograficzne, dali się łatwo uwieść namowom pokątnego doradzcy i—w liczbie stu kilkudziesięciu osób—wybrali się w drogę. Odważni poszukiwacze przygód obozują obecnie na Pradze, w pobliżu dworca kolei terespolskiej: mężczyzni, pod osłoną wrześniowego nieba, kobiety i dzieci pod dachem przytułków policyjnych. Straż bezpieczeństwa publicznego uznała za stosowne odesłać wszystkich w progi ojczyste, opatrzywszy jako tako na drogę, dzienniki zaś, wydając głuche jęki współczucia dla mimowolnych pielgrzymów, głośno wypowiadają się na niekorzyść pokątnej adwokatury wiejskiej, „tajemniczych indywiduów“ itp. kozłów ofiarnych naszej socyologii.

W traktowaniu ujemnych objawów społecznych, dziennikarstwo nasze podobnem jest do ograniczonej dziewicy. Wzrastającą na twarzy liczbę wyrzutów i brodawek, stara się ona usunąć za pomocą środków zewnętrznych, olejków, plasterków itp., nie domyślając się nawet, że przyczyną choroby są jakieś wewnętrzne wadliwości ustroju, niezaspokojone jego potrzeby, skrępowane czynności. Ile razy na ciele naszego ludu zjawi się jakiś wrzód złośliwy, ile razy przemyślny oszust potrafi wyzyskać ciemnotę chłopów, tylekroć czytamy, że „tajemnicze indywidua“ są bardzo szkodliwe, że dla poskromienia ich działalności jak najsurowszych środków użyć potrzeba. Jednocześnie też każdy z dzienników otwiera swą apteczkę: niestoty, oprócz olejków i plasterków administracyjno-policyjnych, nic tam nigdy nie widać! A jednak, wypadki takie, jak niedoszło do skutku założenie Nowej Polski przez chłopów radomskich, mogą i powinny do szerszych doprowadzić wniosków. Sam fakt ubóstwa „pielgrzymów,“ przeżuwany bezmyślnie przez gazeciarskich socyologów, mógłby im wiele powiedzieć, gdyby ich nerwy wzrokowe i słuchowe łączyły się z mózgiem. Podziwiamy ciasnotę logiki chłopa, nie mówiąc nic nigdy o jego uczuciach, jak gdyby te nie należały do najważniejszych czynników jego życia. Posiadanie ziemi jest w oczach wieśniaka nietylko orężem w walce o byt materyalny—jest to spełnienie wszystkich jego dążeń i pragnień, jego moralnych i obywatelskich ambicyi. Ani przywiązanie do kraju, ani sąsiedztwo Matki boskiej częstochowskiej, nie powstrzymało chłopów radomskich od stanowczego kroku. Okoliczność ta rzuca jaskrawe światło na siłę wpływów, tak bardzo przecenianych przez nasz konserwatyzm, i na znaczenie czynnika nigdy nieuwzględnianego u nas we właściwej mierze. Nie opuszcza się dostatniej zagrody nad Wisłą—dla kawałka *nowiny* syberyjskiej; pamiętajmy o tem, ilekroć zajdzie potrzeba karcenia „szkodliwych indywidów.“

Jeżeli zwykłe pole ich działania—masy ludowe—doznają spóźnionej często opieki, dziennikarstwa za to, inna część naszej społeczności — przemysłowcy — są istnym jego benjaminkiem. Ulubieniec nie zadawalnia się już platoniczną łzą współczucia „po szkodzie,“ lecz każe radzić i myśleć o swoich potrzebach zawczasu. Energię tę i przezorność wytłomaczyć sobie można tem głównie, że przemysł „krajowy“ w znacznej mierze nie jest „naszym.“ Obce i bardziej niż my zaprawne do boju żywioły krzątają się raźniej, i w łamach dzienników występują częściej i śmielej. Obecnie mam na myśli rozsądne uwagi *Gazety radomskiej* w sprawie zamierzonego za kilka tygodni zjazdu w Warszawie przedstawicieli przemysłu górniczego. *Gazeta*, popierając rozumowania swe przekonywającemi dowodami, doradza przenieść miejsce przyszłych posiedzeń z Warszawy do Radomia, jako położonego bliżej głównych ognisk górnictwa. Czy Radom jest rzeczywiście miejscem najbardziej w tym przypadku odpowiednim—nie wiemy; to jednak pewna, że zbliżenie się obradujących do przedmiotu ich obrad, możność wycieczek praktycznych, ułatwienie udziału w rozprawach ludziom fachowym—nie mogącym się zanadto oddalać od ogniska pracy, że wszystkie te powody na niekorzyść Warszawy, jako miejsca przyszłego zjazdu, przemawiają. Odezwanie się *Gazety* znalazło też szybki i głośny oddźwięk i „kilku obywateli zamierza już wystąpić z *przedstawieniem* (zapewne wnioskiem?) do zarządzającego górnictwem w Królestwie polskiem, aby ze względu na korzystniejsze warunki zjazd do Radomia postanowił.“

Z wybitnego stanowiska, jakie zająć starają się coraz usilniej nasi przemysłowcy, ustępuje widocznie ziemiaństwo. Nawet tak zachowawcze dzienniki, jak *Gazeta warszawska*, pozwalają swym korespondentom malować nieszczęśliwych eksprzodowników barwami mocno czarnemi. „Oj to państwo nasze! jakże ono zatarło wszelkie poczucie obowiązku, prawdy i cnoty obywatelskiej w swych adeptach! Czy to nie zgroza pomyśleć, że jeden się zgrywa, ktoś znowu, jak oszust ostatni, nie kwituje dzierżawcy z opłaconej sumy, a potem wszczyna proces, więc nieszczęśliwy mniemany dłużnik, z rozpaczy i niezasłużonej hańby odbiera sobie życie, i tylko tem wyjaśnia się cała bezecność pretensyi... trzeci trwoni, jak szaleniec spuściznę go-

dnych naddziadów niby pod pretekstem, że nie ma dzieci... inni znowu robią równie złe lub gorsze rzeczy...“ Tak mówi p. Jelski w *Gazecie*. Korespondencyę kończy niezaszczytna ocena działalności banku Wileńskiego, którego koryfeusze, „i teraz nie pozbyli się zachcianek, skoro pod pozorem rzekomej oszczędności na raz uszczuplono znacznie płacę niższym urzędnikom, gdy tymczasem wyżsi zostali przy wysokich pensyach (12,000) i owych sławnych *żetonach* wartości 125 rs. i 75 kop. za chwilowe chociażby odwiedzenie banku.“ Według obiegających pogłosek, obniżenie płacy ma na celu podtrzymanie wysokiego kursu akcyi bankowych, a to w celu łatwiejszego ich pozbycia się w danym razie. Zjawisko to jest tem bardziej oburzające—że, w pewnych sferach—normalne. Oburzać się jednak nie wolno pod karą otrzymania nazwy nieuków, warchołów itp. Uprasza się o możliwy objektywizm i „naukowy“ spokój w traktowaniu przedmiotu.

Uzupełnieniem działalności ujemnej naszych ziemian są nieszczęśliwe próby pracy dodatniej. Szereg ich zwiększa obecnie chwiejące się stowarzyszenie ziemian płockich, któremu przed laty nadano złowróżbną nazwę *Zgody*; pod tym słem tem jeszcze się chyba nic dobrego w Polsce nie stało: o zgodę zawsze było nam najtrudniej. Opłakane losy stowarzyszenia opisuje *Korespondent płocki*. Zgromadzeni w bardzo małej liczbie członkowie *Zgody*, pomiędzy którémi nawet wszystkich przedstawicieli zarządu nie było—„nie obmyślili żadnych środków zaradczych... przystąpić miano też do wyboru nowego zarządu, komisyi rewizyjnej i sądu polubownego... Z obecnych nikt się nie oświadczył, iż pragnie być kandydatem, a jeden oznajmił nawet, iż pełnomocnictwa nie przyjmie... Zebranie przeto, przewidując, iż z nieobecnych członków, którzy nawet nie raczą raz w półroku przybywać na posiedzenia, nikt zapewne nie przyjmie żadnych obowiązków w stowarzyszeniu, zmuszone było zaniechać wyborów i prosić zarząd dotychczasowy itd.“ Zdaje się, że z pomiędzy naszych „nieobecnych“ oddawna już nic można nic wybrać. Dziennik płocki zaznaczył tylko na pociechę, iż *Zgoda* ma szczęście do rzezimieszków, którzy, wiedząc zapewne o opuszczeniu stanowisk przez „członków,“ zapragnęli w sklepach jej odbyć „posiedzenie“ nocne. Zamiarowi temu przeszkodzono—jak się zdaje, ze szkodą honoru stowarzyszonych, którzy tanim kosztem uwolniliby się od zarzutu niedołęstwa i opieszałości w sprawach publicznych.

Na te przymioty rasowe naszych ziemian czyha i rachuje cały zastęp oszustów. Przed jednym z nich ostrzega braci prenumeratorów redakcya *Wieku*. Współpracownikowi tego pisma, spekulant pewien ofiarowywał znaczną „łapówkę“ za ogłoszenie fałszywych cen zboża... Stróż jedynej, przez *wszystkich* ziemian czytywanej rubryki, po zwycięskim odparciu pokus—ogłosił światu swoją niewinność. Dziennikarstwo nasze często chełpiło się wstrętem do przedajności: zasługę tę jednak zmniejszał brak kusicieli; okazuje się wszakże, że i my posiadamy „stronnictwa“ pragnące przeprowadzać przez pisma swe „przekonania“ sposobami handlowemi. Pozwólmy więc dziennikom chwalić własną uczciwość—byle się tylko jej nie przeniewierzały.

Na liście walczących z pruskiem „ausrotten“ zapisało się znowu kilka imion; między innemi, pisma donoszą o pewnym fabrykancie łódzkim, który oddalił służbę niemiecką, i o p. Ostrowskim, obywatelu z Garwolińskiego, który obowiązuje się dać pracę sześciu rodzinom wygnańców.

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 września.

Najważniejszemu wypadkowi tygodnia—połączeniu się Bułgaryi z Rumelią — poświęca pismo nasze ze względu na niezmierną doniosłość tego faktu oddzielny artykuł; ograniczymy się zatem na krótkiej wzmiance, iż dalsze następstwa tego przewrotu nie dały na siebie długo czekać; w Serbii bowiem rozpoczętą już została mobilizacya armii, a Turcya, jak głosi urzędowa turecka prasa, postanowiła wysłać armię do Rumelii.

Ruch na półwyspie Bałkańskim odwrócił uwagę ogólną od zatargu hiszpańsko-niemieckiego, lecz znaczenia kwestyi tej nie osłabił i trudności z nią związanych nie usunął. Opinia publiczna w Hiszpanii jest wciąż przeciwną wszelkim ustępstwom dla Niemiec, a rozjątrzenie przeciw władzy monarchicznej jest tak wielki, iż król Alfons tylko pod silną bardzo eskortą i w szpalerach przez wojsko utworzonych odważa się przejeżdżać przez ulice. Pomimo tych ostrożności z tłumu rzucano do powozu listy z pogróżkami, a nie ulega wątpliwości, iż taki sposób znoszenia się ludu z władzą niekorzystnie świadczy o jej powadze i popularności w danej chwili.

Wszystko zależy ostatecznie od tego, jakiego zadość uczynienia Niemcy zażądają za obrazę ich narodowej chorągwi i zachodzi poważna obawa, iż w chwili, gdy wypadnie żądanej satysfakcyi udzielić nastąpi w Hiszpanii nowy, silniejszy jeszcze wybuch uczucia narodowego.

We Francyi wre dalej ruch przedwyborczy. O ile się zdaje partye radykalne zyskują coraz więcej widoków powodzenia. Popularność rządowej, oportunistycznej partyi zmniejszyła się wskutek konieczności dalszego działania w Anamie i Madagaskarze. Są to smutne następstwa błędów Ferry'ego, które nastręczają wciąż sposobność partyom radykalnym do obwiniania rządu, iż prowadzi dalej awanturniczą, kolonialną politykę i przelewa krew ludu francuskiego wbrew jego chęci i gwoli wątpliwych zresztą korzyści, które w przyszłości mieszczaństwo z kolonii ciągnąć będzie.

Okazuje się przytem, iż reforma wyborcza, t. j. głosowanie podług list departamentalnych, zawiodła oczekiwania w niej pokładane. Sądzono, iż jednolita lista republikańska przejdzie we wszystkich departamentach, gdzie większość po stronie republiki. Tymczasem, chcąc uzyskać poparcie radykalistów, umiarkowani muszą umieszczać ich na liście nawet w tych departamentach, gdzie radykalizm sam przez się wpływu żadnego by nie miał i wskutek tego stronnictwo republikańskie może się po wyborach okazać bardziej rozstrzelonem na frakcye, aniżeli przy poprzednim systemie głosowania okręgami.

I w Niemczech rozpoczęły się już przygotowania do wyborów sejmowych. Są to, jak wiadomo wybory pośrednie, a więc naprzód wybierają się delegaci, a następnie delegaci wybrani głosują na posła. Prócz tego wyborcy mają wpływ tem większy, im więcej podatków opłacają i muszą jawnie wymienić nazwisko delegata, któremu głos oddają.

Trudno uwierzyć, aby przy takiem systemie opinia ogólna mogła się w rezultatach wyborów odzwierciedlić, zwłaszcza wobec rozporządzenia cesarskiego, które nietylko zakazuje urzędnikom państwowym opozycyi, lecz nakazuje im energiczne popieranie polityki rządowej. Agitacya wyborcza jest też wszędzie słabą, a większość rządowa wyjdzie z wyborów, co prawda na nominacye zakrawających, silniejszą jeszcze, niż chyba poprzednio.

SPRZEDAŻ DUSZ.

— Po pierwszy, po drugi, po trzeci—i! *Going! going!* Nikt nie daje więcej, panowie? Tylko 225 dusz, wszystkich razem w Sharringtonie, mężczyzn, kobiet i dzieci! Zdrowe probostwo! Dziesięć pokojów ze stajniami i tylko 225 dusz. Prześliczna okolica! Ogród kwiatowy i jeden akr ziemi. Nikt więcej? Going! going! — 302 funtów szterlingów dochodu z probostwa. Dirt cheap! (Tanio, jak śmiecie)!

— Sześćdziesiąt pięć!—mówi kierujący sprzedażą do jakiegoś duchownego anglikańskiego, zapytującego o wiek teraźniejszego proboszcza, po śmierci którego dopiero probostwo mogłoby przejść na własność więcej dającego.

— Dopiero sześćdziesiąt pięć! U nas ludzie się starzeją — trzeba wytrwałości anglo-saskiej!—i kupiec duchowny przestaje licytować, pomimo zachwalań, że tylko o 225 dusz pieczę mieć należy i że za to 302 funt. szterl. (około 3,000 rubli) rocznego dochodu—to niezła zapłata, zwłaszcza, że w Londynie na ulicy księgarskiej Paternosterów sprzedają gotowe kazania na funty.

Pasterze anglikańscy, nawiasem powiedziawszy, odczytują swoje kazania, z pozoru niby dla tego, aby wskutek pomyłek pamięciowych nie wydarzały się uchybienia niezgodne z czterdziestu artykułami wiary, które każdy teolog podpisać ma obowiązek — w rzeczywistości zaś, aby kandydatowi na proboszcza, który za pieniądze własne lub ojca, albo też za posag żony nabył sobie urząd duchowny, oszczędzić trudu wyuczenia się na pamięć kazania, trwającego zresztą najwyżej dwadzieścia minut.

— Sto pięćdziesiąt funtów!—woła ksiądz jakiś.

Mr. Wilkinson, kierujący sprzedażą, odpowiada?

— Panie! Licytujemy tu w dobrej wierze! Nie sprowadziłem żadnych osób podstawionych! Niech tylko ocena będzie znośną—pasterstwo dusz sprzedanem być musi. Musi! Widocznie zdanie pańskie o wartości przedmiotu wielce się różni od mojego. Racz pan zwrócić uwagę! Przepyszny dom mieszkalny! Ogród kwiatowy—tylko 225 dusz!

Po 10 funtach przewyżki cena doszła w końcu do 270 f. szterlingów i przy ponownem wołaniu *going, going!* probostwo dostało się więcej dającemu!

— Teraz, panowie—rzekł prowadzący sprzedaż, przechodzimy do urzędu pasterskiego nr. 2, probostwa w Saxlingham *); w tem miejscu winienem przeprosić za niedokładność. W katalogu wiek obecnego właściciela probostwa, rektora, podanym jest na lat sześćdziesiąt sześć. Ma on dopiero sześćdziesiąt trzy!

— Kiepski interes!—rzekł kurat (młody ksiądz) tuż przy mnie do swego braciszka duchownego, którego czarny fartuch jedwabny pod długą sutanną i nad takiemiż pończochami oznaczał wyższe w hierarchii stanowisko.

— Ośmdziesiąt funtów!—Nikt więcej!—Sto, panowie! Saxlingham położone o milę tylko od Marrington! Prześliczny dom na dożywocie! Trzy akry łąki na zabawy! I tylko—proszę uważać—tylko 140 dusz, wszystkich razem! Dochodu 450 funtów szterlingów!

Stronnictwo dążące do obniżki stara się osiągnąć zmniejszenie ceny postąpionej za pomocą uwag o złem położeniu i budzenia wątpliwości co do tego, czy czasem proboszcz dotychczasowy nie jest jeszcze o kilka lat młodszy, aniżeli przyznano,

*) Nazwy nie są zmyślone. Sprzedaż powyższa miała miejsce w maju r. b., a świadkiem jej był piszący te słowa, korespondent jednego z pism niemieckich.

podczas gdy staruszek jakiś, obywatel ziemski i brat właściciela urzędu sprzedawanego, manewry te nazywa nieuczciwemi. Cena doszła do 450 funtów.

— Nikt więcej? — pyta prowadzący sprzedaż głosem tąk tkliwie błagalnym, jakby ukochaną prosił o rękę. „Po raz pierwszy, po drugi—raz jeszcze dopełniam formalności, probując, czy czasem nie uda mi się wycisnąć z dziesięć funtów—po trzeci! *Going! going!*—i opuścił młotek—a Saxlingham dostało pasterza *in petto*.

Na tem rzecz się zakończyła. Wyższe jedno stanowisko, w którem chodziło o 1,800 funtów rocznego dochodu ze sprzedaży wycofano, ku wielkiemu utrapieniu młodego studenta teologii z Cambridge, który przybył tu z bogatym ojcem swoim, pragnąc, aby mu rodzic kupił synekurę i aby można objąć tłusty kęsek, skoro tylko rozstanie się ze światem doczesnym liczący już obecnie przeszło lat siedmdziesiąt dawny proboszcz. Szeptano sobie, że stary jest parem państwa, który w ten sposób chce zabezpieczyć najmłodszego wydziedziczonego niemal syna, jak to zwykły czynić familie szlacheckie w Anglii, gdzie ziemia cała i majątki spadają na pierworodnego, rzadko lubionego przez braci. Mimochodem powiedzmy, że syn para będący studentem, korzysta ze starodawnego przywileju—może otrzymać stopień naukowy bez potrzeby złożenia egzaminu na równi z innymi śmiertelnikami! Flaga szlachecka osłania panów przed tak plebejuszowskiemi przypuszczeniami, a dobra opinia profesorów dopomaga im do powodzenia.

Gdyby w tych sprzedażach chodziło o przeniesienie praw własności, o ile one odnoszą się do domu mieszkalnego i dworu, nic by nie było do nadmienienia. Ale przedmiotem nabycia, obok zwykłych wpływów, jest niezbędne dla pasterza dusz prawo zamieszkiwania w domu proboszczowskim i używalność ogrodu. Dochód powstaje w części z dziesięciu milionów funtów szterlingów, jakie corocznie otrzymuje kościół, w części zaś z komornego płaconego za mieszkania w domach kościelnych, tak, iż proboszcz często z powodu niewypłacalności zmuszony bywa wyrzucać lokatorów, co nie licuje wcale z pożądaną czystością uczuć nabożnych. W niektórych hrabstwach i z dziesięcin także osiąganą bywa część dochodów proboszczowskich. Niedawno proboszcz jakiś wystąpił z procesem przeciwko dzierżawcy gruntu o dziesięcinę od wieków zapomnianą, sięgającą r. 1543 i uzyskał pozwolenie zajęcia. Biednemu dzierżawcy nie pozostawało naturalnie nic innego jak zbankrutować, z powodu trzechsetletniej bezczynności swoich poprzedników. Należało zachować „majestat prawa;“ ale litera zabija!

Żyzne są łąki, na których pasie się anglikanizm! Pensye biskupów i arcybiskupów wynoszą od 5 do 15,000 funtów szterlingów rocznie. Uposażenia wikaryuszów i rektorów, duchownych, „powołanych“ do pracy w winnicy pańskiej, dochodzą nieraz do 4,000 funtów na rok!

Tymczasem „powołanie“ wypełnia właściwie tylko „kurat.“ Jest to zwykle licho opłacony młody teolog, na którego barki spada cały ciężar hodowli dusz w parafii. Wielu z nich uzyskało od proboszczów (wielkich pasterzy dusz, którzy najchętniej ze względów zdrowia przebywają zagranicą i w podróżach) podwyżkę pensyi rocznej do 150 funtów szterlingów, ale, pomimo to, troska nie opuszcza ich domu. Przyczyna tego następująca. W Anglii jest o milion więcej kobiet, aniżeli mężczyzn—mąż więc mający utrzymanie staje się przedmiotem szczególniejszych zabiegów. Jeżeli matka—natura nie opamięta się i nie zmieni obecnej statystyki urodzeń w ciągu pół wieku naród angielski w dwóch trzecich swych częściach składać się będzie z kobiet i dziewic. Zaledwie młody kurat otrzyma posadę, już cały tuzin często bardzo spieszczonych dam marzy o zamężciu z przedstawicielem kościoła państwowego. Jednemu z nich zdarzyło się, że dostał na urodziny dwadzieścia i dwie par pantofli haftowanych wraz z tyluż słodkiemi liścikami. W końcu biedak wpada w sieci zastawione i zaczyna stękać, gdyż młoda pani domu nie nauczyła się oszczędzać u matusi, a że w Anglii od tysiąca funtów dochodu rocznego zaczyna się dopiero komfort, od dwóch tysięcy przyjemność, a od dziesięciu tysięcy zadowolenie—łatwo domyśleć się, jakie tam panuje szczęście małżeńskie! Co też za myśli przychodzą księdzu, siedzącemu na małem probostwie w innych krajach, gdy czyta, że również małemu anglikańskiemu pasterzowi duchownemu 1,500 rubli dochodu rocznego na utrzymanie nie wystarcza i że uczestniczy w meetingach, na których razem z tysiącami kolegów swoich utyskuje na ciężki swój los i domaga się podwyżki uposażenia, aby nie zginął, jako gentleman! Taki kurat naturalnie dąży przedewszystkiem do zostania proboszczem niezależnym, a jeśli potrafi utrzymać dobre stosunki z zamożnymi członkami gminy, najczęściej wystawiają mu oni oddzielny kościołek i żyje, jak gentleman, z wynajmowania ławek pobożnym lub z pożyczonymi funduszami udaje się na sprzedaż dusz do Tockenham-Yard w City londyńskiej. Tam czeka, jako konkurent, póki nie znajdą nabywcy inne przedmioty również licytowane, jak: meble, obrazy, składy towarów, dzierżawy domów itp. i póki nie przyjdzie kolej na dusze—im ich mniej, tem lepiej, a im bliżej grobu czasowy ich posiadacz—tem więcej przedstawiają wartości.

Państwowy kościół anglikański nie jest kościołem ubogich. W izbie niższej jeden z mówców zauważył, że nigdy jeszcze w kościele nie widział człowieka w łatanej odzieży, a w roku bieżącym od podwojów katedry św. Pawła w Londynie straż odpędzała wiernych przybranych w grubo, reperowane suknie robotnicze. W izbie panów jeden z książąt po odniesionem zwycięstwie jakiemś wyrzekł: „Jestem zdania, że od pewnego czasu nie dobrze obchodziliśmy się z Bogiem, i że po takim tryumfie wypada postawić wniosek czystego (propre) uznania.“ Emerson w swojej *„Charakterystyce angielskiej“* tak pisze: „Kiedy na kontynencie widzisz anglika wytwornie ubranego, jak wchodzi do kaplicy poselstwa swego i jak do cichej modlitwy schyla głowę w pięknym cylindrze, niepodobna zwalczyć myśli, że modli się raczej z poczucia dumy narodowej, aniżeli z pobudek religijnych. Słowa modlitwy tak mało go obchodzą, iż jest pewnym, że modląc się okazuje wspaniałomyślność pewną i popularność.“ W innem zaś miejscu mówi: „Zdaje mi się, że w mózgu brytańczyka jest klapa, która podług upodobania może być zamykaną, podobnie jak maszynista zatrzymuje parę. Ludzie najrozsądniejsi i najdoświadczeńsi posiadają dar myślenia tylko tak daleko, jak tego chce biskup lub minister finansów. Mówią odważnie i logicznie i do świetnych dochodzą rezultatów, ale ci sami ludzie, którzy wolność handlu i geologię do obecnej posunęli wysokości, bardzo poważne i zuchwałe robią miny, gdy wątek, rozmowy dotyka kościoła anglikańskiego lub pochodzenia starodawnego i przesądu takiegoż. Wtedy staje przed nami żółw drewniany.“

Kiedy anglikowi pokazałem doniesienie w gazecie o sprzedaży dusz, odpowiedział: „To w zupełnym porządku. Wszak nabywca przy objęciu urzędu swego winien uroczysto złożyć oświadczenie, że postarał się o plebanię nie z samolubstwa, lecz wyłącznie dla dobra dusz biednych. Gdzież więc obłuda?“ Wyjaśnienie to mogłoby przyprawić o zazdrość Talleyranda. Czyż potem wszystkiem można się dziwić, że sprzedaże dusz przyjmuje się flegmatycznem wzruszaniem ramion, jako interes nie mający w sobie nic zdrożnego? To też jedno z pism londyńskich bez komentarzy podało wiadomość, że młody jeden duchowny przybył na licytacyę i w imieniu religii, honoru i dobrych obyczajów domagał się zaprzestania frymarku, oraz, że prowadzący sprzedaż po prostu kazał go wyrzucić za drzwi i zawołał na nowo chwytając za młotek: Dalej tedy, panowie! Tylko 100 dusz. Niewielka robota! *Going! Going! Going!*

F. B.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

W Petersb. Wiedomostiach niejaki p. Prokofiew zamieścił wrażenia swoje z odwiedzin Kijowa. Między innemi powiada:

„Gdzie tylko pokażą się polacy, ciągną za sobą żydów — ciągną mimowoli; polacy nie mogą żyć bez żydów dla tego, że oni są tu panami, wyrosłymi na wiekowej niewoli chłopów. Teraz chłopów niema; ale pozostały pańskie nawyknienia i pańskie lenistwo, a wszystko to zadowolnić mogą tylko starozakonni, mianowicie najniższy ich gatunek, ten, który się nazywa *żydami* wszystko oni zrobią, wszystko zniosą i ścierpią dla grosza zarobku i nareszcie ich można łająć i bić, a to stanowi niekiedy potrzebę kapryśnej i gorącej „panny“ lub gorącego „pana.“ Prawda, że żydzi za to bicie odpłacają się hurtowem oszukiwaniem; ale siła nawyknienia leniwego państwa jest tak wielką, że się łatwo na to godzi. Prawda, że żydzi, bici czy nie bici, zawsze oszukiwać będą. Nareszcie polacy nie mają średniego stanu i jeżeli brak chłopów zastępują *żydzi*, to brak *tiers état* zastępują starozakonni, średni gatunek izraelskiego plemienia.“

Wrażenia te, zaprawione rozpaczą, którą wywołało w korespondencie pudełko zapałek, ozdobione „polakiem w kontuszu,“ nawet *Kijewlaninowi* wydały się miarką przebraną.

Dniewnik Warsz. donosi, że generał gubernator warszawski, zwiedzając szpital w Grójcu, zauważył iż tabliczki nad łóżkami chorych pisane były po polsku. Skutkiem tego

„polecił wydać rozporządzenie, aby w szpitalach gminnych i innych instytucyach dobroczynnych napisy na tablicach nad łóżkami chorych robione były w ogólno-państwowym języku rosyjskim.“

Petersb. Wiedomosti, dla których Galicya jest Sodomą i Gomorą, piszą:

„Okazuje się, że dyabeł jeszcze czarniejszy niż go malują.“ Takiego zapatrywania, wbrew powszechnie znanemu przysłowiu, trzymają się austryackie władze. Za „czyny jawnie dowodzące niezadowolenia z obecnego ustroju państwowego“ lwowski sąd policyjny skazał galicyan, którzy uczestniczyli ostatniej uroczystości Cyrylla i Metodego, na karę poprawczą: Naumowicza i Płoszczańskiego na dwa tygodnie, innych zaś, adwokata Dobrjańskiego i studentów Kurbasa i Kosowskiego na tydzień aresztu. Nie będziemy rozbierali po szczególe tego co najmniej oryginalnego procesu, godnego raczej sądu w farsie przedstawianej na scenie któregoś letniego teatru. Proces był w całem znaczeniu tego słowa policyjny; oskarżeni nie byli nawet badani; żadnej rozprawy sądowej i wszystko ograniczyło się na ogłoszeniu widocznie zawczasu przygotowanego wyroku. Pociągniętym do odpowiedzialności „zdrajcom“ odmówiono nawet pociechy wysłuchania mów prokuratora i adwokata, a oskarżyciel — adwokat występujący w dwóch perukach w osławionej farsie, doprawdy jest ideałem sprawiedliwości i ścisłego

przestrzegania nietykalności prawa w porównaniu z tem, na co sobie pozwolił ów trybunał lwowski. I w Petersburgu i we Lwowie i w Wiedniu najdoskonalej wiedzą, że ani p. Naumowicz ani p. Płoszczańskij nie występowali jako deputaci. Przybyli oni poprostu w charakterze prywatnych gości na wszechrosyjską uroczystość. Mowy ich nie zawierały w sobie nic podżegającego, a w całej uroczystości nie było żadnej tendencyi anti-austryackiej. Do niczego też przeciwnego interesom austro-węgierskim nie zmierza samo Towarzystwo słowiańskie, a cytowany przez lwowski sąd fakt konfiskowania wydawnictw tego towarzystwa sam przez się nie dowodzi niczego, a nadto jest niedokładny, ponieważ broszury, o których widocznie lwowska policya wspomina, były konfiskowane w Galicyi, nie zaś w innych ziemiach i prowincyach monarchii. Cała ta sprawa jest do takiego stopnia dzika, że należy się spodziewać, iż wiedeńskie władze centralne pospieszą zatrzeć i położyć kres tej bufonadzie."

Dniewnik warsz. objaśnia.

„Petersburska gazeta *Nowosti* w nr. 237 z dnia 29 sierpnia podała wiadomość zaczerpniętą z gazety *Presse* następnej treści. Gazecie *Presse* komunikują z Warszawy o następnym wypadku, który zdaniem korespondenta, może stać się powodem dyplomatycznego starcia między Prusami a Rosyą: Pruski konsul w Warszawie baron Rechenberg wychodząc z gabinetu oberpolicmajstra, włożył kapelusz w pokoju przyległym do tego gabinetu. Zarządzający kancelaryą p. Miller, nie znający konsula z twarzy, zwrócił się ku niemu, prosząc o zdjęcie kapelusza, a otrzymawszy w odpowiedzi zapytanie *Was sagen Sie?* podszedł i sam zdjął mu kapelusz. Baron Rechenberg wpadł w taką wściekłość, że rzucił się na p. Millera i zelżył go czynnie, o czem natychmiast sporządzono protokół dla rozpoczęcia sprawy przeciw konsulowi pruskiemu." Doniesienie to okazuje się nieprawdziwem, a wypadek starcia, który zaszedł pół roku temu, odbył się w taki sposób. W dniu 1 marca r. b., p. o. naczelnika kancelaryi warszawskiego oberpolicmajstra, radca stanu Miller, wszedłszy do ogólnej sali recepcyjnej przy kancelaryi, położonej obok gabinetu oberpolicmajstra, zauważył tam w liczbie gości nieznaną sobie osobistość, stojącą w palcie i z kapeluszem na głowie, i dla tego w grzecznej formie prosił gościa o zdjęcie kapelusza; prośba ta rozumie się była wypowiedziana w języku rosyjskim. Zakomunikowawszy potrzebne polecenie urzędnikowi dyżurnemu p. Afanasiewowi i powracając znowu do swego pokoju, radca stanu Miller, spostrzegłszy, że taż sama osobistość wciąż stoi z kapeluszem na głowie, powtórzył swoje żądanie w sposób bardziej nalegający, zrobiwszy przytem uwagę, że nieprzyzwoicie jest stać w kapeluszu w sali recepcyjnej. W odpowiedzi na to, gość rozdrażnionym i podniesionym głosem zaczął dawać odpowiedzi w języku francuskim, ale pomocnik oberpolicmajstra, podpułkownik Własowskij, zbliżywszy się w tym czasie, zakomunikował naczelnikowi kancelaryi, że jest to niemiecki konsul generalny, tajny radca legacyjny, baron Rechenberg, któremu znów z kolei udzielonem zostało objaśnienie co do stanowiska osoby, która zwróciła się do niego z żądaniem zdjęcia kapelusza. Na tem ograniczyła się cała sprzeczka w tym przedmiocie."

Do tego dodaje **Prawit. Wiestnik.**

„Nazajutrz, podczas objaśnienia w tej sprawie z oberpolicmajstrem miasta Warszawy, konsul generalny br. Rechenberg nie mógł nie uznać sam pewnej nieoględności w swoim sposobie postąpienia."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zygmunt Sumiński, literat i gospodarz, zmarł przed kilku dniami. Że niektóre pisma chwalą nieboszczyka, to jest naturalnem, a może być w pewnej mierze słusznem; ale że jego jaskrawe wady zamieniają na szczególne cnoty, to już za wiele dla nekrologowego kłamstwa, które u nas stało się przysłowiowem. Tak np. *Kuryer warsz.* pisze: „Ś. p. Sumiński bronił przekonań zachowawczych, bronił szczerze, gorąco, ale z *umiarkowaniem i poszanowaniem zdań przeciwnych*. Miał on być *„przedmiotowy* w publicystyce." Jakkolwiek prasa nasza mogłaby wywozić do innych krajów histeryków konserwatyzmu, nie umiejących sądzić rzeczy przedmiotowo i nie mogących uszanować przeciwnego zdania, zmarły Sumiński, jako kronikarz *Niwy* odznaczał się w tym gronie jako namiętny, fanatyczny, nieumiarkowany szermierz. Jego artykuły zniżały się często do napaści i paszkwilu. Że za to otrzyma wieniec grobowy z innym tytułem—ani przypuszczaliśmy.

Bank państwowy spalił w tych dniach za 20 mil. rubli banknotów.

Zarząd uniwersytetu warszawskiego wydał w r. z. rs. 25,000 na odnowienie biblioteki i obserwatoryum, oraz otworzenie pracowni farmaceutycznej i laboratoryum anatomii patologicznej.

Komitet ministrów postanowił, iż oficerowie i żołnierze straży pogranicznej w Królestwie polskiem, w braku pomieszczeń w gmachach rządowych, mają otrzymywać nadal kwatery u obywateli, podobnie jak straż ziemska.

Rewizya sanitarna. W zeszłym tygodniu dokonano w Warszawie rewizyj sanitarnych w 234 domach, a wskutek tych rewizyj pociągnięto 40 właścicieli do odpowiedzialności sądowej za naruszenie przepisów sanitarnych.

Zakaz. Dyrektor gimnazyum w Szawlach, mieście powiatowem gub. Kowieńskiej, wydał okólnik, zakazujący uczniom wyznania żydowskiego dawania lekcyj dzieciom chrześcian, na zasadzie prawa z r. 1845, że „nauczycielem chrześcianina może być tylko chrześcianin."

Podwyższenie opłaty. Opłata farmaceutów za uczęszczanie na kursa w Uniwersytecie warszawskim podniesioną została z rs. 20 na rs. 50.

Szkoły w prowincyach Nadbałtyckich. Ministeryum wychowania publicznego rozkazało, ażeby w szkołach niemieckich w Rydze niezwłocznie zaprowadzono zmiany, zasadzające się na tem, że w czterech wyższych klasach będą 3 godziny wykładu geografii i historyi Rosyi w języku rosyjskim; że w trzech klasach niższych język rosyjski będzie wykładany codziennie.

Budżet wydziału poczt i telegrafów na rok przyszły przewiduje dochodów 25,762,093 rs., czyli więcej o 1,196,224 rs. aniżeli w r. b. Dochody z poczt mają wynosić 16,582,000 rs., a z telegrafów 8,896,000 rs.

Towarzystwo wstrzemięźliwości w Londynie mianowało w Warszawie ajentów, którychzadaniem—zjednywać nowych członków dla stowarzyszenia.

Kilku robotników, w ich liczbie kobieta i 14 letni chłopiec, znaleźli śmierć przy dobywaniu łomów w kopalni kamienia wapiennego p. Frenkla. Zarządzono śledztwo.

Nowe gimnazyum na Pradze otwarte zostało d. 15 b. m.

Właściciele ziemscy w Lubelskiem wydalają służbę folwarczną niemiecką, po wypłaceniu jej pensyi za czas zakontraktowany.

W Dąbrowie górniczej kilkunastu robotników uległo kalectwu wskutek rozporządzenia towarzystwa francusko-włoskiego, aby nawet z tak zwanych filarów oporowych pozostawionych w zrębach dla bezpieczeństwa, węgiel wydobywać. Następstwem tego rozporządzenia było zawalenie się ziemi—przyczem pracujący w kopalni robotnicy zostali parciem powietrza wyrzuceni z chodnika i pokaleczeni.

Kolej Iwangorodzko-Dąbrowska ustanowiła na przewóz zboża i mąki specyalną zniżoną taryfę bezpośredniej komunikacyi z kolejami południowo-zachodniemi, fastowską, jekaterinenską i charkowsko-mikołajewską.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozesłało w końcu r. z. 200 egzemplarzy kwestyonaryusza fabrycznego i otrzymało dotychczas zaledwie 40 wypełnionych szematów.

Zakłady fabryczne Lilpop, Rau i spółka na Solcu otrzymały nowe zamówienia na dostawę kilkuset wagonów dla kolei żelaznych rosyjskich, których odstawa rozpocząć się ma jeszcze z końcem roku bieżącego.

Zapisy na 4 procentowe obligacye kolei południowo-zachodnich otwarte zostały w Petersburgu w d. 21 b. m.

Przemysł w Łodzi, jak pisze miejscowy dziennik, znacznie się ożywił. Kilku fabrykantów wełnianych powiększyło swe fabryki, zaś jedna z fabryk, która w roku zeszłym zawiesiła wypłaty, znów zaczęła funkcyonować. Interesy z Rosyą idą nieźle, mało jednak nadziei, aby wobec niepomyślnych tegorocznych urodzajów, stan taki długo potrwał.

Dybowski prof. wszechnicy lwowskiej bawi chwilowo w Warszawie.

Działanie środków leczniczych z odległości. Niezmiernie ciekawe doświadczenia nad wpływem lekarstw z odległości na osoby histeryczne wykonali pp. Bourru i Buruf. Złoto w odległości 10 centymetrów wywoływało uczucie palenia; rtęć—palenie i konwulsye; jodek potasu—ziewanie i kichanie. Przybliżenie zatkanej i owiniętej w papier flaszeczki opium wywoływało sen. Emetyk w podobnych warunkach sprawiał choremu mdłości, a obecność w bliskości chorej alkoholu spowodowywała upicie.

Wpływ magnetyzmu na rozwój zarodków. Prof. Maggiorania czynił pod tym względem doświadczenia na kurzych jajach i okazało się, że magnetyzm albo zupełnie tamuje, albo wywiera szkodliwy bardzo wpływ na rozwój zarodka. Wpływ ten wyraża się w dalszem życiu rozwiniętego osobnika nieprawidłowościami budowy lub fizyologicznych funkcyi.

Wydawnictwo niemieckiego miesięcznika „Nordische Rundschau," wychodzącego w Rewlu, zostało wzbronione.

Kongres stowarzyszenia prawa międzynarodowego rozpoczął już swe posiedzenia od d. 7 września w Brukseli.

Zmarli. Julian Zarębski, utalentowany fortepianista i wynalazca fortepianu z podwójną klawiaturą.

— Jan Canon, jeden z najznakomitszych malarzy wiedeńskich.

— Fryderyk Kiel, kompozytor muzyki kościelnej, znakomity muzyk i nauczyciel.

— Zygmunt Sokołowski, utalentowany artysta-malarz, uczeń Matejki.

— Altenberg, znany wydawca lwowski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. K. Szczegółowe przedstawienie treści drugiego tomu *Kapitału* zamieścimy później, artykuł poprzedni dotyczył tylko jednego zasadniczego punktu.

J. F. 1) Nie należy do tej trylogii; 2) dwie części następne wyjdą, dotąd z wielu powodów było to niemożliwem; 3) katalog będzie wydrukowany w jesieni; 4) o wydaniu w przekładzie dzieł Börnego Spółka nie myślała i—zarówno jak o Renanie—myśleć nie może.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Сентября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski